Nr. 15 Poznań, Niedziela dnia 9 kwietnia 1911. Rok XV.

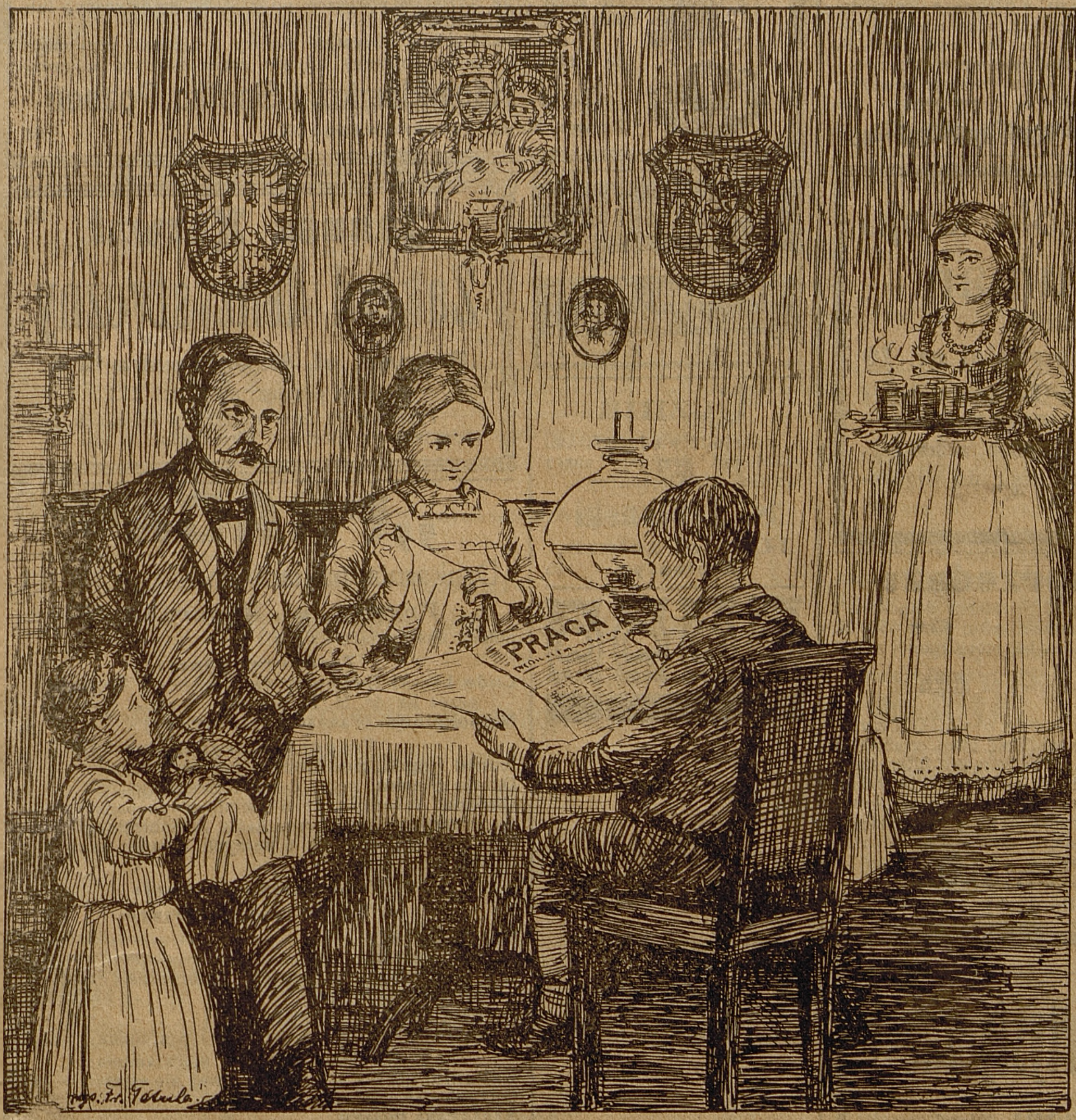
PRACA

CENA OGŁOSZEŃ wynosi 30 fenygów od jednołamowego wiersza petytowego. Przy częstszem ogłaszaniu udzielamy rabatu a mianowicie:

przy czteroraz. (miesięczn.) „ 15%
„ kwartalnem 13 × „ 25%
„ półrocznem 26 × „ 33⅓%
„ rocznem 52 × „ 50%

Ogłoszenia na zewnętrznych stronach okładki obliczamy po 40 fen. od wiersza bez rabatu. **Telefon 97.**

Niniejszy numer jest pierwszy w nowym kwartale,



więc czas największy odnowić przedpłatę na nowy, bieżący kwartał rb. na poczcie.

Prosimy Szanownych Czytelników, aby nie tylko sami wcześnie odnowili przedpłatę na poczcie, ale aby byli łaskawi zachęcać do zapisywania „Pracy“ przyjaciół, sąsiadów znajomych.

„Praca“ kosztuje na wszystkich pocztach 1,50 mk. z odnoszeniem do domu 1,62 mk. na kwartał.

W numerze 12-tym rozpoczęliśmy druk powieści illustrowanej p. t.

„Tajemnice morza“.

„Tajemnice morza“ będzie czytał każdy z nadzwyczajnem zainteresowaniem i oczekiwać będzie z wielką niecierpliwością od tygodnia do tygodnia dalszego ciągu tej rzeczywiście zajmującej powieści.

Kwity pocztowe na nowy kwartał zamieszczone są poniżej. Nowi abonenci otrzymają początek powieści p. t. **„Tejemnice morza“** bezpłatnie za nadesłaniem znaczka pięciofenygowego na porto.

Numery okazowe wysyłamy na życzenie bezpłatnie i franko.

„Praca“ jest najtańszem, najpoczytniejszem i najobfitszem w treść pismem illustrowanem polskiem z wszystkich tygodników illustrowanych, wychodzących pod trzema zaborami.

Prosimy o wczesne odnowienie abonamentu celem uniknięcia przerwy przy odbiorze pierwszych zeszytów w nowym kwartale.

Prosimy odciąć i podać znajomym do prenumeraty!

Unterzeichneter abonniert hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für das II. Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 1,50 M

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 1.50 M erhalten zu haben, bescheinigt

............................, den .... 1911.

Kaiserl. Post............................

Związek Stolarski Tow. z ogr. por.

(dawniej Pluciński i Spółka)

Poznań, jedynie ulica Wrocławska 13/14. 96

Najkorzystniejsze źródło zakupu mebli

skromnych i stylowych.

Prosimy przekonać się! *Zwiedzenie magazynów do kupna nie obowiązuje*

Dogodne warunki spłaty.

Magazyny mieszczą się w naszych własnych domach handlowych, skutkiem tego

ceny mebli bezkonkurencyjne.

Rękawiczki

w najnowszych kolorach

glansowane — duńskie

→ **Warszawskie białe reniferowe**

w domu do prania

Wszelkie gatunki w trzech długościach do modnych krótkich rękawów

En-cas — parasolki fantazyjne i

kolorowe **słomiane.**

Krawaty — Bieliznę — Kapelusze

poleca

109 **W. STARK**

ul. Wilhelmowska 21.

Pomniki, nagrobki, krzyże

z marmuru, granitu, piaskowca.

Figury Świętych Pańskich oraz filary

z kamienia odpornego na działanie powietrza.

Kraty z kutego żelaza oraz **filarki,**

tak kamienne jako też żelazne i **łańcuchy**

do ogrodzeń grobów. 108

Wszelkie materyały budowlane.

S. MICHALSKI i Ska

Poznań, ul. Wilhelmowska 19.

Telefon 504.

Na 311

majątki ziemskie,

gospodarstwa i większe folwarki jestem zawsze reflektantem oraz mam każdego czasu takowe do sprzedania.

Parceluję na własny lub właściciela rachunek za bardzo nizkiem wynagrodzeniem, przeprowadzam konwertacye listów zastawnych, udzielając zaliczki na parcelacyą lub regulowanie hipotek.

Gabryel Ritter,

Bank hipoteczny i parcelacyjny

Stary Rynek 6. — Telefon 62.

Liszaj

mokry i suchy liszaj łupież, skrofuły, pryszcze wyrzuty skórne, wszelkiego rodzaju

otwarte nogi,

obrażenia nóg, wrzody na nogach, żyły kurczowe, bolące palce, zastarzałe rany są często uporczywe; **kto dotychczas daremnie oczekiwał** wyleczenia, niech jeszcze raz spróbuje od dawna jak najlepiej wybróbowanej

maści Rino

wolna od szkodliwych składników. Puszka 1,15 mk. i 2,25 mk. Codzień otrzymujemy pisma dziękczynne. Tylko prawdziwa w oryginaln. opakowaniu biało-zielono-czerwonem i z firmą Rich. Schubert & Co., Weinböhla-Dresden, chem. pharm. labor. Naśladowań nie trzeba przyjmować. Do nabycia w aptekach.

Główny skład: Czerwona Apteka, Poznań, St. Rynek 37. 323

Bielizna, fartuchy, halki,

gorsety, pończochy, skarpetki, rękawiczki, trykoty latowe, reformy dam. i dziec. bawełna i wigonia.

Znaczki rabatowe

K. Przybylski

Poznań. Półwiejska ul. 6.

Znaczki rabatowe.

Hafty, koronki, tiule, woalki, żabotki, kołnierze dla dzieci, wstążki, grzebienie, paski, torebki, krawatki

100 ***i wszelkie towary krótkie.***

KAPELUSZE DAMSKIE.

Kapelusze dla panienek,

Kapelusze dziecięce.

od najskromniejszych do najeleganciejszych w wielkim wyborze po znanych nizkich cenach

poleca 102

T. Ludwig

Skład stroju „Carmen“

ul. Szkólna 10.

Przerabiania podług najnowszych modeli szybko.

Żałobne kapelusze zawsze na składzie.

Starszego chłopca

do posyłek i prac biurowych przyjmie Eksp. „Pracy.“

Rycerska ul. 38.

Nowości

Magazyn mód

Julia Mayer

ul. Wodna nr. 22

poleca 98

na sezon wiosenno-latowy

Modele paryskie, wiedeńskie

i gustowne kapelusze

dla pań, panienek i dzieci.

Kwiaty **Krepy** **Pióra**

Nasiona

polne, leśne i ogrodowe

wszelkie **artykuły pastewne,**

mąki wyborowe oraz **towary korzenne**

poleca 101

G. RITTER Nast., H. Beychler,

POZNAŃ, ul. Wodna 27. Filia: Wodna 19.

Nr. 15. Poznań, dnia 9 kwietnia 1911 r. Rok XV

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. [illegible] — Telefon Nr. [illegible] — **Ogłoszenia:** od wiersza drobnego 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Hołd pruski.

(Do obrazu albumowego.)

Wiekopomna bitwa pod Grunwaldem, która oręż polski niezatartą okryła sławą, lubo powaliła zakon krzyżacki, to jednak nie zniszczyła go doszczętnie.

Nieopatrzność polska nie dozwoliła wyzyskać tego zwycięstwa należycie. Wtedy bowiem już nadeszła chwila, kiedy należało ostatecznie łeb skręcić tej hydrze i ziemie zakonne do Polski przyłączyć.

Zaniedbanie to zemściło się strasznie. Długie bowiem potem jeszcze musieli Polacy z zakonem toczyć wojny, aż nareszcie sholdowano zakon i odebrano mu część ziem bezprawnie i podstępnie od Polski oderwanych. Dopiero pokój toruński zawarty 19 października 1466 r. uporządkował jako tako te sprawy. Pomorze, Warmia, ziemie michałowska i chełmińska wróciły do Polski. Mistrzom wielkim pozostawały Prusy książęce ze stolicą Królewcem jako lenno polskie. I to rozwiązanie sprawy nie przyniosło pokoju. Owszem, stało się przyczyną licznych sporów, trudności dyplomatycznych i wojennych zatargów. Wielcy mistrzowie bowiem nie mogli pogodzić się z losem. Ciążyła im rola wasalów i wciąż przemyśliwali nad tem, by się z pod przewagi polskiej wyswobodzić i dawną niezależność i utracone ziemie odzyskać. W spory te mieszali się cesarze i papieże, którzy przypisywali sobie prawa jurysdykcyi nad zakonem, a wiarołomni mnichowie potrafili z tych trudności dyplomatycznych wybijać dla siebie kapitał. Jedynem rozwiązaniem kwestyi było wcielenie ziem krzyżackich w granice Rzeczypospolitej i zaprowadzenie tamże wyłącznie rządów polskich. Każda inna forma uregulowania sprawy pruskiej musiała wydać prędzej czy później najfatalniejsze skutki. Składały się na to rozliczne przyczyny, które wyłuszczać za daleko by prowadziło. Wskażemy tylko na najważniejszą, na niemiecki charakter państwa zakonnego, które z natury rzeczy musiało się uważać za przednią straż niemczyzny na wschodzie i wskutek tego zawsze mogło liczyć na poparcie cesarzów i książąt niemieckich.

Jakoż historya potwierdziła słuszność tego zapatrywania.

Na mocy układów pokoju toruńskiego obowiązani byli mistrzowie wielcy do składania hołdu lenniczego królom polskim. Jakoż złożył go Kaźmierzowi Jagiellończykowi r. 1470 mistrz Henryk Richtenberg w Piotrkowie, a r. 1489 mistrz Jan Tieffen w Radomiu. Ten sam Tieffen przysięgał r. 1493 w Toruniu na wierność Janowi Olbrachtowi. Lecz już następca jego Fryderyk, korzystając z politycznych trudności, w jakich się Polska znalazła, odmawiał złożenia przysięgi i żądał rewizyi układu toruńskiego. Trzeba było dopiero energicznych użyć środków, aby wiarołomnego lennika rozumu nauczyć. Do wykonania hołdu wszakże nie przyszło, gdyż Jan Olbracht w trakcie odnośnych układów nagle życie zakończył. I znowu minęła chwila sposobna, by wykonać konsekwentnie wymaganej w akcie pokoju toruńskiego inwisceracyi ziem zakonnych.

Podobne trudności i spory miał z zakonem także następca dzielnego Jana Olbrachta, nieudolny król Aleksander.

Dopiero za Zygmunta Starego miała się sprawa ta uporządkować.

* * *

Zakon stracił racyę bytu, gdy Litwa przyjęła chrześciaństwo. Z tą chwilą prysnął jego urok i znaczenie. Z instytucyi duchownej o wzniosłych — tak się przynajmniej zdawało współczesnym — celach, stał się państwem świeckiem, przednią strażą niemczyzny na wschodzie. Za tą zmianą charakteru państwa zakonnego musiały pójść i inne, ważniejsze. Zachwiała się wiara w chrześciańskie posłannictwo zakonu, zepsuły się obyczaje. To, co mogło jeszcze ratować zakon od nieuniknionej zguby, to była idea narodowa niemiecka. W jej imię podjął zakon wojnę z Polską, zakończoną haniebną porażką.

W takiej to chwili pojawiła się nauka Lutra, która wypowiadała wojnę klasztorom i zakonom, oświadczała się przeciw celibatowi i wprowadzała rewolucyę w cały ówczesny sposób myślenia.

Położenie Krzyżaków było naprawdę rozpaczliwe. Czteroletnie zawieszenie broni z Polską miało za rok się skończyć. Czekała ich nowa wojna, której niepomyślny dla krzyżactwa wynik był niewątpliwy. Rozpacz i zwątpienie ogarnęło umysły. Chwycił się tedy Albrecht myśli przekształcenia swe-

go państwa w państwo świeckie. Radził mu to Luter, Ossiander i Melanchton. Krok taki jednak, pomijając już stronę religijną, był pod względem politycznym pogwałceniem traktatu toruńskiego i wymagał koniecznie zezwolenia króla polskiego. Rozpoczęły się tedy układy. I znowu nadarzała się chwila sposobna, by zgnieść doszczętnie krzyżactwo i ziemie zakonne wcielić do Polski. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że wobec przejścia Albrechta na protestantyzm Stolica Apostolska byłaby poparła Polskę, a cesarz zajęty wojną francuską nie byłby się odważył wbrew papieżowi bronić apostaty. Ale najbliżsi i najzaufańsi doradcy Zygmunta I. inaczej zapatrywali się na sprawę sekularyzacyi. Kwestya religijna, mniemali oni, należy do papieża. Ani król polski, ani żaden Polak nie pobudził Krzyżaków do przyjęcia nowej wiary, o powstrzymaniu herezyi w ziemiach zakonnych nie może myśleć Polska, bo musi się sama u siebie bronić przed zalewem protestantyzmu. Zakon taki, jakim jest, jest plamą, którą z świata chrześciańskiego wywabić należy.

Na poparcie tych płytkich i naciąganych argumentów znalazły się także względy polityczne. Bardzo być może, że za Albrechtem wstawiał się król francuski Franciszek I., szukający związków z protestantami niemieckimi, a najgoręcej pragnął zgody z zakonem dwór węgierski. Wszystkie te wpływy przeważyły szalę na stronę Albrechta. Dwór polski znowu nie zdobył się na energiczną i śmiałą politykę i znowu zmarnowano ostatnią bodaj sposobność radykalnego uprzątnięcia sprawy krzyżackiej.

Jakoż dnia 8-go kwietnia 1525 roku zawarto z Albrechtem ugodę, mocą której mistrz wielki miał złożyć hołd Zygmuntowi Staremu i otrzymać dyplom mianujący go dziedzicznym księciem Prus wschodnich pod zwierzchnictwem Polski. Bracia jego z linii anspachskiej: Jerzy, Kazimierz i Jan oraz męscy ich potomkowie, w razie wygaśnięcia jego potomków, zostali uznani dziedzicami Prus. W razie jednak zgonu owych czterech braci z linii anspachskiej i gdyby nie zostało po nich męskich potomków, lenno pruskie miało przejść napowrót w posiadanie królestwa polskiego. Książe pruski ma mieć pierwsze miejsce i najbliższe przy królu w senacie i w sejmie. Z ziem, lennem objętych, nie może nic sprzedawać bez wiedzy króla, nie wolno mu bić monety, zobowięzuje się nadto dostarczyć 100 jeźdźców w razie potrzeby, za co król płaci mu jurgielt roczny w kwocie 4000 złotych. Poddanym zaś jego przysługuje prawo apelacyi do króla od wyroków księcia. Obie strony zwracają sobie wzajemnie miasta i posiadłości, zabrane podczas ostatniej wojny i ogłaszają powszechną amnestyę.

Po podpisaniu tego brzemiennego w następstwa traktatu, złożył Albrecht dnia 10-go kwietnia hołd królowi na rynku krakowskim.

Sekularyzacya Prus niesłychane sprawiła wrażenie w świecie chrześciańskim. Mówiono, że Zygmunt I. przechylił się stanowczo na stronę protenstantyzmu, głoszono, że córkę swoją wydaje za Albrechta, który, nawiasem mówiąc, jako syn siostry królewskiej Zofii, wydanej za Fryderyka margrabiego brandenburskiego, był siostrzeńcem Zygmunta, — a posłowie polscy u dworów obcych musieli słuchać na ten temat gwałtownych zarzutów i szyderczych docinków. Dostojnicy polscy i sam król w licznych listach pisanych do nuncyusza i do papieża starali się oczyścić z zarzutów, dowodząc, że katolicyzm i zakon w Prusach i tak przepadły, a przez układ z Albrechtem zawarowano przynajmniej pewne dla Kościoła korzyści. O politycznem znaczeniu traktatu milczano, bo o to nikt nie pytał, a w Polsce ci, co u steru rządów stali, pragnęli przedewszystkiem spokoju, nie troszcząc się wcale o skutki swej niedołężnej polityki.

Miały się one rychło okazać. Już r. 1569 stabilizuje Zygmunt August prawa domu brandenburskiego do lennictwa w Prusach w razie zgonu księcia Albrechta Fryderyka i jego prawnych następców. Ta sama ceremonia powtarza się r. 1578. R. 1604 obejmuje za zezwoleniem króla polskiego rządy w Prusach Brandenburczyk w zastępstwie chorego na umysł księcia Albrechta Fryderyka. A rok 1618 przynosi brandenburskim Hohencolernom tytuł książąt pruskich.

Tak więc nie całych 100 lat było potrzeba, by pod berłem Hohencolernów połączyć Brandenburg i Prusy.

Odtąd mogą się Prusy śmiało rozwijać. Już W. Kurfyrszt, zawsze jeszcze lennik polski, łączy się z Szwedami przeciw swemu suwerenowi Janowi Kaźmierzowi i w pokoju oliwskim (r. 1660) zmusza Polskę do zrzeczenia się spraw zwierzchniczych nad Prusami książęcemi. A 112 lat później potomek jego Fryderyk II. bierze udział w podziale Polski.... Za następcy jego zaś Fryderyka Wilhelma II. znika Polska z mapy Europy.

Tak otóż nie opatrznej polityce polskiej wobec Prus zawdzięczamy smutny los dzisiajszy.

Krótkowidztwo z r. 1525 strasznie się zemściło.

O uświadomieniu kobiety.

(Dokończenie.)

Kiedy zatem chodzi o uświadomienie kobiety i o wytknięcie jej drogi życia, zastanawiajmy się, abyśmy nie przeoczyli niczego i nie stali się przyczyną do postawienia jej na drodze fałszywej. Uświadomienie kobiety, jakiemkolwiek ono jest, czy wykształceniem najwyższem, średniem, czy tylko elementarnem, ugruntowanem być winno na zasadach religijnych i narodowych. Kobieta stósownie do swego urodzenia, wychowania i wykształcenia winna chować następne pokolenie. Nie zawadzi, jeżeli jej dzieci w dziedzinie wiedzy postąpią dalej jak ona sama, lecz baczyć winna na to, aby rozumną drogę dzieciom wskazała. Dzieje życia pokazują często, że dzieci idą częściej za wolą własną, a nie za wolą rodziców, albo matki — zwłaszcza synowie. Tu i matce należy uszanować wolę człowieka i nie sprzeciwiać się, choćby w gruncie rzeczy woli tej przeciwną była. Kobiety, zwłaszcza w wieku starszym, stają się bardzo praktyczne i najchętniej widziałyby swe dzieci otoczone zbytkiem i wygodami, i w tym celu sprzeciwiają się dzieciom w ich własnych poglądach. Matka spełni swój obowiązek jeżeli *wskaże* dziecku drogę prawdziwą, drogę jej mniemaniem dobrą, jeżeli postara się o wykształcenie środkom i domowemu wychowaniu odpowiednią. Jaką drogę to dziecko, które tymczasem stało się człowiekiem, sobie potem obierze, niechaj przestanie być troską matki. Jeżeli człowieka tego w przyszłem życiu czeka niedola, nie winą to matki, i mniej czasem gorżką w życiu człowieka bywa ta niedola, niż złota dola zgotowana ręką przezacnej matki, która może zabiła w człowieku jego święte dążenia — porywy.

Że praca kobiety po stowarzyszeniach własnych nie jest dość intensywną, że tej pracy brak głębszej myśli i podstawy, winą właśnie jej nieuświadomienie. Sięga ono nieraz głębiej niż przypuszczać można, gdyż nie tylko że sama jest zerem społecznem, innym drogę do pracy tej tamować będzie. Kobieta nieuświadomiona od-

wiedzie męża od udziału w pracy społecznej, a kiedy będzie chciała, znajdzie argumenta i powody przekonywujące, którym mężczyzna ulegnie. Jeżeli zaś nie uda jej się męża przekonać, wyrodzą się niesnaski małżeńskie, a przyczyną ich będzie zdaniem kobiety towarzystwo lub inna praca zbiorowa, której się mężczyzna oddaje.

Koniecznem zatem, aby mąż żonę w swe sprawy towarzyskie wtajemniczał. Także udział w posiedzeniach towarzystw męskich wpływa na uświadomienie kobiety dodatnio.

Ogromny odłam kobiet przecież uczuwa wstręt do łączenia się w jakiegokolwiek rodzaju towarzystwa, tak żeńskie, jak męskie. Różne powody są tego wstrętu, tak uzasadnione jak i bezpodstawne. Bezpodstawne są wtenczas, jeżeli bez dokładnej znajomości rzeczy zraża się do towarzystwa, na mocy może tego, że ta lub owa niesympatyczna osoba znajduje się w tem towarzystwie. Natomiast słuszne są jej powody, jeżeli skarży się, że nie wiele może duchowo korzystać z przebiegu posiedzeń, jeżeli łączność jej męża, brata lub ojca do jakiegoś towarzystwa wlącza w to jaką wstrętną wadę, jak karciarstwo lub pijaństwo. Wiadomo, że wspólność obcowania zacieśnia węzły towarzyskie, a w zbiornikach takich, jakiemi są towarzystwa, nietrudno i o element niższej wartości. Częste obcowanie w sferze niższych elementów prowadzi za sobą szkodę duchową słabszych jednostek. Dzięki Bogu nie zdarza się to często, lecz dzieje się, a echa tego znajdujemy w wstręcie niejednego lub niejednej do towarzystw naszych.

Także ważnym, acz szkodliwym czynnikiem nazwać muszę to, co nierzadko się zdarza, że gdzie na posiedzeniu jedną sprawę ktoś podnosi, inny zwalcza, co jest wynikiem odmiennych przekonań, wyradza się u danych jednostek uczucie wrogie, które przenosi się daleko po za towarzystwo samo, staje się prywatnem, osobistem, i liczba wrogo sobie usposobionych osób powiększa się, co niezdrowo oddziaływa na ustrój społeczeństwa naszego i staje się także jednym z powodów, który w kobietach budzi wstręt do towarzystw.

Na wszystkie wyżej wspomnianych rodzajów usterki, jedynem lekarstwem może się stać rozsądne uświadomienie. Ono dozwoli nam jasno patrzeć na ogólne potrzeby nasze, ono to dozwoli nam wychować pokolenie, które sprosta swym zadaniom, ono to uwolni nas od fałszywego pojmowania swych obowiązków, i ono też, miejmy nadzieję, uchroni społeczeństwo nasze od brudnego zmateryalizowania. Ono to dozwoli nam odłączyć prawdę od fałszu, ono to dozwoli nam cenić prawdziwą naukę i sztukę i nie zaprowadzi nas nigdy na drogę egoistycznych pojęć i rozumowań.

Dla tego też uświadomienie kobiety niech będzie mądrze i przezornie obliczone. Najwyższe wykształcenie niechaj będzie tam, gdzie przyrodzone zdolności tego się domagają. Dalej tam, gdzie są środki potrzebne do wyższego wykształcenia, i gdzie domowe wychowanie licuje z tem wykształceniem.

Średnie wykształcenie też tylko tam zastósowywać należy, gdzie są środki po temu, i gdzie to wykształcenie ma być jednym ze środków późniejszego utrzymania.

Dla reszty wystarczy elementarne wykształcenie, które pracą i rozsądkiem pogłębić można nawet do wielkich rozmiarów. Obowiązkiem zatem niejako każdej kobiety być winno: nietylko posiadać własną wolę, lecz także cenić ją w drugich, także w dzieciach własnych. Obowiązek ten w ścisłej parze idzie z uświadomieniem kobiety.

Wreszcie do wyzyskania praw, przez rządy pruskie jej zostawionych, także potrzeba dostatecznego uświadomienia kobiety. Potrzebne tu wszystkie stopnie wykształcenia. A zatem i najwyższe i średnie i elementarne. Kobiety z wykształceniem wyższem, winne tu dzierżyć ster i kierować pracami zbiorowemi. Niestety, pomimo że statystyka wykazałaby poważne liczby kobiet wykształconych, w tej dziedzinie dotkliwie daje się uczuwać brak tak jej samej jak jej pracy. Na wzór męskich i kobiety potworzyły rozmaite stowarzyszenia, w czasach ostatnich wolno im być członkiem nawet stowarzyszeń męskich. Liczba kobiet w stowarzyszeniach jest wogóle nie bardzo liczną, a w męskich wprost nikłą. Przecież bardzo dla kobiety korzystnem byłoby i w męskich towarzystwach brać udział. Mężczyzna poważny szereg lat pracuje w stowarzyszeniach, dla tego większem na tem polu cieszy się doświadczeniem, więcej posiada wyrobionego zdania, poważniej myśli i zapatruje się na sprawy społeczne jak kobieta. Jej potrzeba dopiero wyrabiać się w tym kierunku, i dla tego nie powinna żadna kobieta uchylać się od brania udziału w ważnych posiedzeniach męskich.

Przecież nie bardzo chętnie widzi ją mężczyzna w swem kole, nie każdy wprawdzie, lecz są tacy, którzy niechętnie spoglądają na ten rodzaj równouprawnienia kobiet. Niechętnie już spoglądano na nią, kiedy przystępowała do utworzenia własnych stowarzyszeń żeńskich, później pracę jej jako tako tolerowano. Dziś, pod wrażeniem uzyskania przez nią dalej sięgających praw, niejednokrotnie obustronnie panują fałszywe pojęcia w tym względzie. A że koniecznem jest, aby kobiety przez naoczne śledzenie posiedzeń męskich, przekonywały się o ważności naszych zadań, tego dowodem, że kobiety bardzo często w braku zrozumienia sprawy, przeciwne są udziałowi swych mężów w pracy stowarzyszeń. Często, kiedy kobiecie danem naocznie się przekonać o ważności łączenia się w większe grona dla sprawy narodowej, zmienia zdanie, odzywa się gdzieś w głębi uśpiona struna czucia narodowego, i bardzo często poważniejsza myśl w jej umyśle zakiełkuje.

Nie ulega wątpliwości, że kobieta i dziś nie docenia swego znaczenia w społeczeństwie, że echa długich lat w których odsuwano ją systematycznie od każdej poważniejszej sprawy społecznej, pozostawiły swe ślady. I tak, wychowana jako połowa narodu słabsza, rzekomo do poważniejszych rzeczy niestworzona, sama w to zdawała się wierzyć, i to, do czego ją wychowano, w co kazano jej wierzyć, stało się niejako jej drugą naturą.

Stało się to, skutkiem fałszywie pojętego wychowania — a nie przyrodzenia.

Jej zamiłowanie do strojów i ciągła myśl o przeróżnego rodzaju fatałaszkach, jest wynikiem owego spaczonego wychowania. Ta drobiazgowość, małostkowość, która jej zewnętrzną stronę cechuje, nie dozwala myśli sięgać głębiej. Dostrzegać możemy ślady tego, jeżeli przypatrzymy się pracy kobiet w ich stowarzyszeniach. Często niejednej pracy brak myśli głębszej, a to, co nazywamy pracą, obliczone bywa nieraz na efekt zewnętrzny. Niestety, nie mogę pominąć, że czasem dzieje się podobnie i po towarzystwach męskich. Po za pięknie brzmiącym frazesem, kryje się nieraz wielka nieudolność.

Często z elementarnem wykształceniem tylko, stać się można prawdziwie cennym człowiekiem, dzięki naturalnie własnej chęci i pilności, gdyż nie zawsze tylko szkoła czyniła ludzi wielkimi. Kobieta, tak samo jak mężczyzna wytknięty winna mieć cel życia, do którego dążyć, winno być podstawą jej

pracy. Pogłębianie w szkole nabytej wiedzy, stale towarzyszyć winno wszystkim jej czynnościom.

Podobne zrozumienie uświadomienia nie omieszka przynieść znacznych korzyści nietylko danym jednostkom, lecz całemu społeczeństwu.

Charlottenburg, 22. marca 1911

Stanisława K.

Drożyzna chleba.

Drogi chleb — jestto hasło, które od dawien dawna elektryzowało masy. Kto tem hasłem operuje, zawsze może liczyć na powodzenie, gdyż dotyczy ono artykułu niezbędnie do życia potrzebnego, konsumowanego ponadto w kołach ludności uboższej bez porównania więcej niż w rodzinach bogatych.

To też naturalnie socyaliści na wygodnym tym koniku wyprawiają swe harce agitacyjne. Zazwyczaj wskazują na cła zbożowe jako na jedyną przyczynę drożyzny chleba.

Nie ulega wątpliwości, że cła zbożowe, przyczyniając się do podniesienia cen zboża, w pewnej mierze także podrażają chleb.

Nikt rozsądny temu nie przeczy.

Jednakże błędne jest mniemanie, jakoby cła były jedyną przyczyną drożyzny pieczywa. Składają się na to także rozliczne inne powody najzupełniej od ceł zbożowych niezależne

Nim bowiem zboże wyprodukowane przez rolnika, któremu cła zbożowe bezpośrednio służą, dojdzie rąk konsumenta w postaci chleba, przechodzi ono po przez ręce szeregu handlarzy, młynarzy i piekarzy, z których każdy z artykułu tego zyski ciągnie. Zyski te oczywiście zapłacić musi konsument.

Dawniej proces ten był bardzo prosty. Za centnar zboża dostawało się centnar chleba. Piekarz kontentował się zyskiem, który mu przynosiła ospa. Piekarz był zatem jedynym pośrednikiem pomiędzy producentem zboża a konsumentem chleba. Dzisiaj pomiędzy nich wcisnął się jeszcze kupiec zbożowy i młynarz, a często jeszcze kramikarz, który chleb zakupiony ryczałtowo u piekarza w poszczególnych bochenkach sprzedaje konsumentowi. Zatem do ceny zboża należy jeszcze doliczyć zyski, które sobie poszczególni pośrednicy liczą, i dopiero ta suma ogólna daje cenę chleba.

Należy teraz wskazać na szczegół, na który się zazwyczaj niedostatecznie zwraca uwagę. Tak np. gdy zboże chociaż tylko nieznacznie podrożeje, ceny chleba nieproporcyonalnie idą w górę. Chleb staje się lżejszy, a bułki miałoby się ochotę brać pod mikroskop. Jeżeli się o to zainterpeluje piekarza, ma odpowiedź gotową: zboże podrożało, więc i pieczywo droższe. Bardzo dobrze. Lecz niestety, gdy zboże stanieje, chleb i bułki w niczem nie zmieniają swej miniaturowej postaci. Pozostają małe i czekają na następującą podwyżkę cen zboża, by jeszcze bardziej skurczyć się i zmaleć.

Pamiętamy jeszcze wszyscy wysokie ceny zboża w r. 1909. Od razu wtedy podrożało pieczywo i zewsząd poczęto narzekać na system cłowy jako przyczynę niepożądanego tego zjawiska. Od roku już mamy ceny zboża umiarkowane, o więcej niż 10 procent niższe od ówczesnych, lecz w cenach pieczyna nie łatwo dopatrzeć się zmiany, a nie brak miast, gdzie pieczywo mimo zniżki cen zbożowych podrożało.

Widzimy więc, że bynajmniej nie same cła zbożowe powodują nieproporcyonalny wzrost cen pieczywa, lecz że działają tam czynniki nie stojące w żadnym z cłami protekcyjnemi stosunku.

Kryzys kwestyi ruskiej

w Galicyi.

(Własna korespondencya „Pracy").

Z Galicyi, 2. kwietnia 1911.

Opinia publiczna w kraju naszym ma obecnie dość sensacyjnych tematów do poruszania. Śledzą więc wszyscy z niezmiernem zainteresowaniem sale sądów krajowych lwowskiego i krakowskiego, gdzie pominąwszy dość częste i utarte już procesy, w obecnym okresie wyszły na jaw sprawy wykazujące ten dziwny układ stosunków, w jakich nam w tej dzielnicy żyć przychodzi.

Najdrażliwsza, tak doniosła dla naszej przyszłości sprawa ruska, uwidoczniła się w odbywającym się już od miesiąca procesie przeciw młodzieży ruskiej, sprawcom napadów na lwowski uniwersytet w dniu 1-go lipca 1910 r. Długi i nużący dotychczasowy przebieg rozprawy rzuca ponure światło na kwestyę sporu polsko-ruskiego. Pominąwszy już formę walki, której widownią był uniwersytet lwowski w dniu 1-go lipca, uderzyć musi każdego niebywały u kulturalnego chociażby i rzeczywiście krzywdzonego narodu, fakt tchórzostwa, krętactwa i braku odwagi przyjęcia odpowiedzialności za swe czyny, co cechuje zarówno młodzież ruską (przyszłość narodu!) jak również i obrońców, przewódców „ukraińskiego narodu." Jakież przykre wrażenie czyni ta młodzież podejmująca walkę z pewnością z idealnych i szlachetnych pobudek, że jedyną metodą jej obrony jest zaprzeczanie wszystkiemu i insynuowanie Polakom wszelkich zbrodni. Tak nigdy nie walczyła polska młodzież. Wszędzie zdobywała się na godne jej charakteru poniesienie wszelkich skutków.

Boleśniejsze w tem wszystkiem to, że widzimy do jakiego kryzysu doszła już sprawa polsko-ruska. Czują to wszyscy, że jest źle.

Pryskają już złudzenia opierania naszej przewagi na stosunkach z rządem, utrzymania bodaj dotychczasowego stanu posiadania, widzą ci, co umieją niezaślepieni patrzeć, ten ogromny wzrost narodowej świadomości ruskiego społeczeństwa, planowy i skuteczny dorobek wytężonej jego działalności kulturalno-gospodarczej, a nie łudzą się zbytnio co do przeciwnego temu odpowiednika ze strony żywiołu polskiego. Czujemy to dobrze, że Rusini robią postępy znaczne i to naszym kosztem lub przeciw nam, lecz zbyt wiele jeszcze wśród nas dawnych złudzeń i stąd płynie nasza bierność. I nie ma na razie przynajmniej widoków na postawienie jaśniejszego horoskopu na przyszłość.....

Sprawcy lipcowych zaburzeń w znacznej mierze zostaną ukarani. Zostaną ukarani ślepi wykonawcy zasady przez przewódców narodu wytworzonej: pałką i nożem. Czy sprawa zaburzeń ruskich na uniwersytecie lwowskim zostanie rozwiązaną? Stanowczo nie. Przybędzie materyału do niesumiennej agitacyi roznamiętniającej masy, do nienawiści, a krew Kocki (zabitego przez swych towarzyszy, co niezbicie stwierdzono) przedstawiona jako zbrodnia polska będzie nowym żyznym czynnikiem kopiącym przepaść między bratnimi ongiś narodami, związanymi wspólną siedzibą, jednym losem i tylukroć stosunkami najściślejszej natury.

Nic dziwnego, że patrzącemu głębiej z okazyi lwowskiego procesu nasuwają się refleksye najpoważniejszej natury.

Szermierz.

Bohdan Zaleski

1802—1886.

Zdzisław Dębicki poświęca w „Kuryerze Warszawskim“ lirnikowi ukraińskiemu następujące wspomnienie z powodu 25-ej rocznicy jego zgonu.

Dnia 31-go marca 1886 r. zgasł w Villepreux Józef Bohdan Zaleski. Przypada więc dwudziesta piąta rocznica zgonu poety, który należał do świetnej plejady duchów polskich w pierwszej połowie XIX. wieku.

Rocznicę tę godzi się przypomnieć i uczcić — nie przez powtarzanie życiorysu poety, bo ten jest już dzisiaj wszechstronnie opracowany i łatwy do przejrzenia w pierwszym lepszym podręczniku do dziejów literatury ojczystej, ale przez przypomnienie tego stanowiska, jakie „śpiewak Ukrainy“ zajął w naszej poezyi.

Zaleski ogromną część życia swojego strawił poza krajem. Druh Goszczyńskiego i Mochnackiego, w czasie powstania 1830/31 r. służył w 3-cim pułku strzelców pieszych, bił się pod Dobrem, Stanisławowem i Grochowem, otrzymał krzyż virtuti militari i przeszedł granicę z korpusem Ramorino, a przebywszy więzienie austryackie, po krótkim wypoczynku w Łopusznej u Józefa Tetmajera — poszedł na emigracyę, która go raz na zawsze oderwała od ojczyzny.

Był jednym z wielu. Ale „potępieńcze swary“ wśród których znalazł się na bruku paryskim, nie wciągnęły go w zamęt swoich wirów. Tkwił w nim artysta, który przełożył spokojny pobyt w Endoume pod Marsylią, nad gwar jarmarczny stolicy świata. „Słowik,“ wychowany w chacie wiejskiego znachora nad Dnieprem, pozostał słowikiem. Poszła jednak za nim na tułactwo jego rodna Ukraina i wypiękniała mu na obcej ziemi, wybłękitniała, dostała, jakby skrzydeł. Tam, w tęsknocie i żalu za nią, powstaje najpiękniejsza modlitwa, jaką zna poezya — to prośba Zaleskiego do Boga o „Ukrainę w niebie.“

Ten bliski, nierozerwalny związek poety z ziemią, która karmiła go „mlekiem dum i mleczem kwiecia,“ odbił się na całej jego poezyi, nadał jej charakterystyczny, odrębny indywidualny ton.

Przedziwna muzyka słowa i świat własny, o kolorycie swoistym, pełen barw, woni i dźwięków, nie spotykanych przedtem — oto główne znamiona jego utworów. Są one lekkie i śpiewne, ubrylantowane rosą traw stepowych, malowane tęczą, zbieraną ze skrzydeł motylich. Gra w nich cały przepych słońca południowego, szumi wiatr, kołyszą się burzany i oczerety, błąkają się echa „wolnej“ pieśni kozaczej, podzwaniają rynsztunki rozhukanych synów „Siczy,“ idących dobywać Carogrodu, skrzypią wozy „czumaków,“ wiąże się w melodyę całe bujne życie hetmańskiej Ukrainy.

Malał i gasł śpiewak takiej pieśni wobec blasku trójramiennego świecznika naszej wielkiej poezyi romantycznej, która szła prosto w niebo na ogromnych, archanielskich skrzydłach Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego.



Bohdan Zaleski.

Malał i gasł tem bardziej, że nie miał tchu szerokiego, że nie umiał zdobyć się na utwór większy i głębszy, a jeżeli próbował tego — to bez powodzenia.

Śpiewał jednak, bo taki był nakaz wewnętrzny jego duszy, takie było jego posłannictwo poetyckie na ziemi. Jego dzwonna czarowana pieśń spełniała jednocześnie rolę, z której może sam poeta nie zdawał sobie sprawy. Wiązała ona Ukrainę z Polską, a Polskę z Ukrainą, spinała tę dawną ziemię Rzeczypospolitej z Koroną za pomocą brylantowej klamry, która trwa i trwać będzie zawsze.

I dlatego potomność nie pomyliła, się, kładąc na głowę poety wieniec laurowy.

Zaleski zasłużył na to. Dzisiaj, po latach wielu, kiedy bierzemy do ręki jego poezye, nie możemy się jeszcze oprzeć ich urokowi. Owiewa on nas całkowicie i przenosi w kraj cudów i ułudy — ułudą bowiem, była już ówczas Ukraina, jaką poeta widział w marzeniu. A jednak nie przestajemy mu być wdzięczni za tę właśnie ułudę, za to, że chwytał na struny swojej liry tylko czyste piękno, a poniechał całkowicie łun pożarnych i krwi na nożach „rizunów“ humańskich.

Było to może za sprawą jego polskiej duszy, do której nienawiść nie miała przystępu, ale było także za sprawą tej czystej, słonecznej sztuki, którą ukochał jak artysta.

Artyście więc przedewszystkiem nieśmy kwiat pamięci na mogiłę samotną, w dwudziestą piątą rocznicę jego odlotu od ziemi.

Hojny dar dla nauki polskiej.

Od czterech lat istnieje w Warszawie Towarzystwo Naukowe Warszawskie. Powstało ono w owej rewolucyjnej dobie, kiedy to ożywcze tchnienie większej swobody powiało na ziemie polskie pod berłem rosyjskiem pozostające.

Dokoła instytucyi tej, następczyni rozwiązanego po powstaniu listopadowem warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, skupiło się poważne grono uczonych. Zawrzała gorączkowa praca naukowa. Lecz niestety nowa instytucya, pozbawiona środków materyalnych, nie mogła rozwijać się prawidłowo. Wtem zaszedł fakt, który od razu najpomyślniej rozwiązał palącą tę kwestyę.

Pan Prof. Dmochowski potrafił zainteresować sprawą Towarzystwa Józefa hr. Potockiego z Antonin, który po dokładnem zbadaniu odnośnych stosunków ofiarował Towarzystwu gmach wartości 209 tysięcy rubli i przez wspaniałomyślny ten dar od razu Towarzystwo na pewnych materyalnych ufundował podstawach.



Józef hr. Potocki, kurator Instytutu nauk doświadczalnych.

Ustęp zasadniczy aktu erekcyjnego brzmi jak następuje:

„Dnia 25-go marca 1911 roku, ja, Józef hrabia Potocki, pragnąc wznowić przykłady moich przodków Jana, Ignacego i Stanisława Potockich, zasłużonych dla polskiej nauki, oddaję na wieczystą własność warszawskiemu Towarzystwu Naukowemu nabyty przezemnie w dniu 18-go marca 1911 roku gmach przy ul. Kaliksta nr. 8, który służyć będzie za siedzibę Towarzystwu i instytutom nauk doświadczalnych, tudzież jako pomieszczenie dla przyszłych zbiorów, biblioteki i pracowni.“



Aleks. Jabłonowski, prezes. **Prof. Z. Dmochowski,** wiceprezes. **Franciszek Pułaski,** jeneralny sekretarz.

Chwilowo gmach ten zajęty jest przez szkołę, lecz opróżni się częściowo już na czerwca, robiąc miejsce rozlicznym laboratoryom naukowym mieszczącym się obecnie w prywatnych lokalach na mieście.

Również tworzące się świeżo laboratoryum psychologii doświadczalnej, które wkrótce miało rozpocząć swą działalność pod kierunkiem p. Abramowskiego w prywatnym lokalu przy ulicy Smolnej, przeniesione będzie do gmachu Towarzystwa. Naukową organizacyą innych laboratoryów naukowych zajmuje się prof. Z. Dmochowski, długoletni były prosektor uniwersytetu warszawskiego. Jaki rozmach wzięło Towarzystwo Naukowe po otrzymaniu tak wielkiej materyalnej pomocy w postaci własnego gmachu, świadczą chociażby propozycye prof. Dmochowskiego co do założenia nowych laboratoryów, i to: zoologicznego, anatomo - patologicznego, bakteryologicznego, antropologicznego, gleboznawczego i seroterapeutycznego.

Przeprowadzenie tych daleko idących planów oczywiście znacznych wymaga sum. To też składki na te cele płyną obficie. W kilku dniach zebrano kilkanaście tysięcy rubli. Składki po 1000 rubli złożyli pp. prof. Dmochowski, dr. Janowski, dr. Palmiński, ks. Seweryn Czetwertyński zebrał 10 tysięcy rubli.

Tak więc dzięki wspaniałomyślnej ofiarności magnata polskiego Towarzystwo Naukowe Warszawskie od razu stanęło na silnych podstawach i dostarczy nauce polskiej nowej przystani.

Cały naród polski odczuwa wdzięczność dla dostojnego ofiarodawcy i ufundowanie gmachu dla warszawskiej instytucyi naukowej obchodzi słusznie jako święto polskiej nauki.

Warto nakoniec przytoczyć piękną przemowę sekretarza Towarzystwa p. Fr. Pułaskiego, wygłoszoną do hr. Potockiego z okazyi uroczystego doręczenia Zarządowi Towarzystwa aktu erekcyjnego.

Oto jego słowa:

„Towarzystwo Naukowe warszawskie dostrzega w niezapomnianym akcie dzisiejszym uroczyste w swej treści i powadze zawiązanie złotej nici tradycyi ducha pomiędzy tymi, co są i trwać będą, a tymi — co odeszli.

„Pełne poczucia swej odpowiedzialności wysokiej przed historyą, grono nasze tuszy sobie, że obecny jego nastrój będzie należycie przez potomność oceniony.

„Ufa, że pokolenia zstępne, wyrokujące w ostatnich instancyach o zjawiskach życia społecznego na kartach dziejów, wnikną głęboko w doniosłość chwili, jaką tu dzisiaj przeżywamy.

„A wniknąwszy w nią myślą badacza i uczuciem syna, wyłowią z szarej teraźniejszości naszej wspomnienie dnia dzisiejszego, jako perłę osobliwego blasku.



Dom zakupiony na fundacyę przy ul. Kaliksta (gdzie się mieści szkoła Rontalera.)

„I skojarzą ją z klejnotami, nanizanymi przez wieki na pasmo dziejów naszego narodu, poczynając od zamierzchłej ich macierzy — „Umiejętności potężnych perły,“ która ongi „mężów dojrzałych, w cnocie trwających, a uzdolnionych — wszechstronnie — wedle słów najdostojniejszego z dostojnych fundatora swego — przygotowywać miała...“

Wielki czyn Józefa hr. Potockiego, który równocześnie zamianowanym został kuratorem Towarzystwa, świadczy, że odradza się w magnateryi naszej owa szczytna tradycya obowiązku narodowego, która dziejom naszym przysporzyła tyle pięknych kart nietylko w historyi nauki naszej.

Ciągną ptaki...

Górą, chmurą, po nad lasy, po nad chat kominy, ciągną one z wrzawą radosną, z wołaniem rozgłośnem, z śpiewaniem dźwięcznem i do gniazd swych wracają, do stron rodzinnych trafiają.

A kto je ujrzy, klaszcze w dłonie z uciechą, wypogadza czoło, uśmiechem wita i woła:

— Ciągną ptaki z południa! Będzie wiosna... nowe życie wraca....

A dołem, gościńcami błotnistemi, ścieżynkami krętemi, miedzami jeszcze z chłodu zimy nie ogrzanemi ciągną tłumy z chmurą na czole, z bólem w sercu, z pijawką głodu wewnątrz i idą w dal od gniazd rodzinnych, od stron swoich, od ziemi matki.

A kto ich ujrzy, bolem zaciska usta, dłonie kurczowo splata, żałość czuje w sercu i szepce:

— Ciągną biedacy za pracą, za chlebem, za zarobku drobiną... przednowek ciężki! Chleba brakło!... biedne dzieci wsi i miast!...

I kiedy ptakom z południa ciągnącym ściele się droga do śpiewu, wesela, kołebania młodych w gniazdach, to ptakom, włokącym się na Saksy, do „Hanoweru“, do „Hameryki“ ściele się tułaczy szlak tęsknoty, nędzy bezdomnej, zapomnienia u swoich i wyzysku u obcych...

A kiedy ptakom wśród gajów, lasku pól i chat każdy słowo powitania z radością rzuci, to ptakom idącym za chleba kruszyną w świat obcy nikt ręki na pożegnanie nie poda i nikt ich

nawet widzieć nie chce... Taki to los odmienny dwu łańcuchów wędrownych ptasząt...

Górą, chmurą, po nad lasy i nad łąki płyną te z południa z gwarem pełnym radości...

A dołem miedzami, drogami, gościńcami w świat wiodącemi idą ci bosi, głodni i smutni...

Ku jednym wznoszą się oczy z radością...

Drugich nie widzą, nie znają... nie liczą...

Biedne polskie ptaki, głodem z gniazd rodzinnych pędzone!

Cola di Rienzi.

Są ludzie, którzy pną się do wielkości, honorów, tytułów, a w pierwszym rzędzie do bogactw, aby — gdy takowe osiągną — mogli trząść publiczną opinią, szarym gminem, być przywódzcami bezkrytycznych mas ludu i dyktatorami w sprawach publicznych. Sposoby, jakiemi tacy ludzie zmierzają do swych samolubnych celów, są zawsze te same: schlebiają oni ludowi, podniecają jego instynkty, łudzą go wielkiemi obietnicami, a zbywają jak dzieci błahostkami, świecidełkami, reklamują się, czynią głośnem swe imię i na efekt obliczone czyny, i w ten sposób pociągnąwszy masy za sobą, wznoszą się na ich barkach do wyżyn, do wymarzonej wielkości, a potem — dopiąwszy celu — stawiają się despotami, tyranami ludu.

Tacy ludzie noszą grecką nazwę *demagogów* czyli pochlebców ludu: są to niebezpieczne osobniki w społeczeństwach. *Podkopują oni zaufanie do prawdy i sprawiedliwości i niweczą wiarę we wszelką uczciwość ludzką.* Szczęściem jednak dla społeczeństw jest to, że takie ambitne jednostki swojem postępowaniem sobie same grób kopią. Spadają one ze swych wyżyn w nicość, pozostawiając po sobie odstraszające wspomnienie. Typowym demagogiem był Cola di Rienzi, o którym tu poniżej pragnę wspomnieć.

* * *

Cola di Rienzi czyli właściwie Niccolo (Mikołaj) Lorenzo (Wawrzyn) Gabrini, urodził się 1313 roku jako syn biednego rzymskiego szynkarza. Po wczesnej śmierci ojca utrzymywała go matka jako i resztę swych dzieci pracą rąk swoich, a mianowicie praniem po domach zamożniejszych Rzymian. Jako młodzieniec zagłębiał się Cola w pismach Liwiusza, Cezara, Seneki i Cycerona, a studya te wzbudzały w nim niepohamowaną miłość do starodawnej wspaniałości rzymskiej rzeczypospolitej, a temu swemu wewnętrznemu uczuciu dawał przy każdej sposobności płomienny wyraz. Oratorskie te jego występy w Rzymie zjednywały mu szczególniej pomiędzy ludem miłość i zaufanie, a gdy w roku 1343 miasto Rzym wysłało do papieża Klemensa VII do Awinionu (we Francyi) delegacyę, mającą go prosić o powrót do Rzymu, wtedy to i Colę wybrano do tejże delegacyi i to jako oratora (mówcę), pomimo, że daleko znaczniejszy i sławniejszy mąż, jakim był znakomity włoski poeta *Petrarka*, w jej liczbie się znajdował. I dane sobie zlecenie przeprowadził Cola z taką zręcznością, że papież go sowicie obdarzył, i swoim notaryuszem zamianował.

Powróciwszy 1344 r. do Rzymu zaczął tu teraz jako papieski notaryusz głośno wypowiadać swe niezadowolenie z powodu wielkiego zepsucia, a szczególniej z powodu bezprawia i gwałtów, jakich się szlachta miasta Rzymu i pobliskich okolic dopuszczała na bezbronnym ludzie. A że wszelkie słowa i upomnienia zbywała magnaterya śmiechem i drwinkami, przeto postanowił Cola tego butnego wroga przez podniecona siłę ludu uskromnić, a przez to lepsze spowodować stosunki. Do tego celu zmierzał rozmaitemi sposobami. I tak wystawił pewnego razu na Kapitolu (rzymskim ratuszu) wielkich rozmiarów obraz, na którym przedstawiony był na wzburzonem morzu tonący okręt bez steru i żagli; na pokładzie klęczała niewiasta w podartych szatach z rozwianym włosem, wznosząca błagalnie ręce ku niebu. Spodem widniał napis: „To Rzym!“ W koło na rozhukanych falach morskich płynęły inne rozbite statki z napisem: Babilon, Jeruzalem, Kartagina. Na wyspie, po lewej stronie tego obrazu siedziała Italia, w postaci zawstydzonej niewiasty, a na drugiej cztery inne postacie niewieście przedstawiające cztery cnoty starożytnych Rzymian: Sprawiedliwość, roztropność, mądrość i męztwo. Naprzeciwko tychże widniała również postać niewieścia przedstawiająca wiarę katolicką, która wołała: „Gdzież będzie ojczyzna moja, jeżeli Rzym zaginie?“ Postacie dzikich i drapieżnych zwierząt, które także na tymże obrazie widoczne były, miały przedstawiać potężną szlachtę rzymską. W święta Zielonych Świątek zwołał Cola di Rienzi do siebie swoich przyjaciół, którym w płomiennej mowie przedstawił nieszczęśliwe położenie miasta Rzymu; następnie przedłożył zgromadzonym starożytną, śpiżową tablicę z uchwałą rzymskiego senatu, na mocy której *lud* cesarzowi Wespazyanowi nadaje rozmaite tytuły jego panowania. Głośny aplauz był dlań dowodem, że jego nadzieje i przypomnienia w umysłach jego słuchaczy znalazły przyjazny oddźwięk.

Mając tedy w taki sposób Cola przygotowane wszystko do dopięcia swych zamiarów, skorzystał z nieobecności Stefana Colonny, potężnego przywódzcy rzymskich magnatów, i w dzień Wniebowstąpienia Pańskiego, dnia 20 maja, wyruszył ku Kapitolowi, z którego stopni gorącemi i namiętnemi słowy przemówił do licznie zgromadzonego ludu, wykazując brak porządku, bezpieczeństwa, spokoju i dobrego obyczaju tak w Rzymie, jak i w tegoż okolicy. Następnie przedłożył cały szereg ustaw i praw, które zapowiadały najrychlejsze i gruntowne usunięcie nierządu i niesprawiedliwości. Równocześnie miała być w Rzymie ustanowiona siła obronna, w każdej z trzynastu dzielnic miasta znajdować się miała załoga wojskowa złożona z 25 jeźdźców i 100 pieszych, wydany był także przepis co do przeprowadzenia porządku: dowóz od strony morza miał być strzeżony wojennemi statkami, było też nakazane zbieranie zboża do śpichlerzy; prócz tego zadekretowane zostało odebranie szlachcie rzymskiej posiadanych w Rzymie zamków i wież obronnych, sędziowie zaś otrzymali rozkaz szybkiego a pewnego karania wszelkich przestępstw i zbrodni.

Głośnemi okrzyki przyklasnął mu lud, bo już od dawna był dla niego ucisk rzymskich magnatów nieznośnym. To też z wszelką gotowością udzielił mu lud wszelkiej ku przeprowadzeniu tych reform potrzebnej władzy. Gdy się Stefan Colonna o tem, co w jego nieobecności zaszło, dowiedział, pospieszył czemprędzej z powrotem do Rzymu, lecz Cola zawezwał go listownie, żeby natychmiast opuścił miasto. Colonna przeczytawszy przysłany list, podarł go na strzępy. Wtem odezwał się z Kapitolu dzwon na trwogę, na odgłos jego podążył każdy mieszkaniec Rzymu na swój sobie przeznaczony posterunek, a Colonna, widząc tak groźną postawę ludu, uszedł z ledwością z rąk oburzonego ludu. Los, jaki spotkał jednego z najwybitniejszych magnatów Rzymu, który się uratował ucieczką, zastraszył resztę szlachty, która

bez oporu opuściła miasto, zobowiązując się przysięgą, że i w Kampanii będzie się starała o bezpieczeństwo dróg, że nie będzie brała w opiekę rabusiów i łupieżców, i że nie będzie przeszkadzała dowozowi do Rzymu. Tak tedy mógł się Cola chełpić, że on z wielką łatwością osiągnął to, co ani papieżom, ani cesarzom się nie udawało. Chodziło tylko o to, czy nowy ten rzeczy porządek stałym będzie. Upojony radością lud zaszczycił swego przedstawiciela tytułem *trybuna i oswobodziciela*. O tym swoim sukcesie doniósł Cola wszystkim książętom Włoch, papieżowi, byłemu cesarzowi Ludwikowi bawarskiemu i innym zagranicznym książętom listami, w których się podpisał: „Mikołaj, surowy i łaskawy, pokoju i sprawiedliwości Trybun, Rzymskiej Rzeczypospolitej sławny obrońca." Wezwał też wszystkich Włochów, aby na dzień 2 sierpnia przysłali swoich delegatów na wielką uroczystość zbratania się, które ma być zapoczątkowaniem ogólnego krajowego pokoju. I ze wszystkich stron państwa włoskiego przybyli na tę uroczystość posłowie, niosąc z sobą uwierzytelniające listy, a zamiast broni srebrną laseczkę w ręku, nie napotkawszy nigdzie na jakąkolwiek przeszkodę.

Nieomal wszędzie doznał energiczny czyn Coli uznania i głośnego poklasku. Z Toskańskich gmin dochodziły go listy pochwalne, przesyłane przez umyślnych posłańców. Luchino Visconti zaofiarował mu swą przyjaźń i udzielał rad co do zasad rządzenia i środków na uśmierzenie butnej szlachty; królowa neapolitańska Joanna zaszczyciła go wielkiem odznaczeniem; król węgierski Ludwik, wzywał go, aby pomścił śmierć swego brata na szlacheckich zbrodniarzach; powiadają, że nawet cesarz niemiecki Ludwik, miał wysłać do niego tajne poselstwo, które miało go nakłonić do zakończenia jego roztereк z kościołem. Niestety wszystkie te wonne kadzidła i uznawanie jego zasług, pozbawiły trybuna ludu *umiarkowania i rozwagi*, jedynych środków dotychczasowego udawania się wszystkich jego planów. *Próżność i pychą przesycona duma, owładnęły jego duszą*. Ujawniało się to na każdym kroku: żona i krewni jego, pochodzący wszyscy z biednych stosunków, musieli się zawsze ukazywać w uroczystych pochodach, w otoczeniu najprzedniejszych obywateli miasta Rzymu. W jaką dumę się wbił, to pokazuje i ten przykład: kazał się on przez *szlachcica pasować na rycerza* i to wśród niesłychanego przepychu; a przecież Cola, tem czem był, zawdzięczał jedynie temu, *że był wrogiem szlachty i dążności jej zwalczał*. Wieczorem dnia poprzedzającego tę uroczystość, wykąpał się w porfirowej wannie, w której, wedle podania, został ochrzczony cesarz Konstantyn Wielki. Jego nierozsądna duma przekroczyła wszelkie granice zdrowego rozumu. W czasie wielkiego pochodu, który z tego powodu urządzić rozkazał, stanął nagle, i głosem wielkim wezwał papieża, aby razem z wszystkimi kardynałami powrócił do Rzymu, swojej stolicy. (Papieże bowiem znajdowali się w owym czasie w tak zwanej niewoli awiniońskiej we Francyi). Tak samo wzywał Ludwika Bawarskiego i Karola Czeskiego, którzy się sprzeczali o swe prawo do tronu niemieckiego, aby i oni ze wszystkimi elektorami przybyli do Rzymu, celem rozpatrzenia ich uprawnionych praw, gdyż wybór i panowanie przynależą li tylko miastu Rzymowi. Następnie obnażonym mieczem przepruł w trzy strony świata powietrze, za każdym razem wołając donośnym głosem: „I to moje!" Naprózno usiłował go legat papieski powstrzymać od tej banalności słaby jego protest zagłuszyła muzyka wojenna.

(Dokończenie nastąpi.)

Zmniejszenie się ludności w Niemczech.

Dokonany dnia 1-go grudnia 1910 r. w Rzeszy niemieckej powszechny spis ludności, podaje ogólną liczbę mieszkańców Niemiec na 64,896,881 (w tem 32,029,890 mężczyzn i 32,866,991 kobiet). Dnia 1-go grudnia 1905 zarejestrowano 60,641,278 dusz ludności, przyrost więc przez ostatnie 5 lat wyniósł 4,255,603, czyli 1,4 proc. na rok. Jest to duży przyrost, jednak w poprzedzającem pięcioleciu 1900 — 1905 był jeszcze większy, mianowicie 1,5 proc., co stanowiło dumę Niemiec i źródło ich nadziei na zdobycie i utrzymanie dominującej roli w Europie.

Zmalenie przyrostu w ostatnich latach wywołało w Niemczech niepokój i badania w tym kierunku, czy jest to zjawisko przypadkowe, czy też wynika ze słabnącej tendencyi siły rozrodczej. Dane statystyczne nie są pod tym względem dla Niemców pomyślne. Statystyka wykazuje bowiem, że liczba urodzin w okresie 1876 do 1909 gwałtownie spada: w r. 1876 było na 1,000 mieszkańców 42,61 urodzeń; w 1891 — 38,25; w 1905 — 34,00. w 1909 — 31,91; to znaczy, że w ciągu tego czasu liczba urodzin spadła z górą o 25 proc. Przyrost ludności, który mimo to trwał, objaśnia się jedynie jednoczesnem zmniejszeniem się liczby śmierci, wywołanem przez polepszenie hygienicznych warunków życia, a zwłaszcza pomyślną walkę ze śmiertelnością dzieci.

Liczby pod tym względem są następujące: w r. 1876 na 1,000 mieszkańców było 29,32 śmierci, w r. 1891 — 24,67, w r. 1905 — 20,84, w r. 1909 — 18,07. Śmiertelność spadała więc znacznie szybciej, niż liczba urodzin.

Liczba przypadków śmierci może da się jeszcze cokolwiek obniżyć (w Anglii doprowadzono do 15 śmierci na 1,000), jednak liczba śmierci ma swe naturalne granice, niżej których zejść nie można, a granicy tej Niemcy są już bardzo blizko. Wobec tego przy spadającej bardzo znacznie liczbie urodzeń, wynik musi być ten, że przyrost ludności zacznie słabnąć. Wobec tego, zmniejszenie się przyrostu w ostatniem dziesięcioleciu z 1,5 proc. na 1,4 proc. uważają nie za zjawisko przypadkowe, lecz za pierwszy objaw tej konieczności.

Wrażenia
z wystawy artystów warszawskich.

II.

Z działu pejsażu wyróżniają się prace *Ziomka*. Dał nam 3 niewielkie studya z natury, na których widać wpływ Stanisławskiego. Mimo to ma Ziomek swój odrębny własny sposób patrzenia na naturę, dostrzega całe bogactwo najsubtelniejszych barw wywołanych blaskiem słońca i oddaje nam swoje wrażenia z mistrzowstwem.

Wrzesińskiego „Okiść" i „Tartak" odznaczające się dobrem ujęciem natury, nie mają bogatego kolorytu.

Edwarda Trojanowskiego „Kaźmierz nad Wisłą" malowany jest w stylu Gauguina. Wpływ Gauguina odbił się na naszych artystach. Już na przeszłej wystawie w Żaboklickiego pejsażach spostrzegamy wpływ genialnego Francuza.

Kowalewskiego: „Pierwszy dzień wiosenny" ma swój własny, jednolity wyraz, uderza silnym, jędrnym kolorytem, malowany z temperamentem i rozmachem.

Władysława Wańskiego pejsaże pełne są poezyi i tęsknego nastroju. W „Smutno mi Boże" widzimy postać poety, stojącego w czółnie na tle morza. Po nad nim powiewa krwawy żagiel. Cały obraz oblany czerwienią zachodzącego słońca.

Janickiego „Zwiastun nieszczęścia" budzi nastrój grozy ołowianemi chmurami, rozszalałym koniem, biegnącym bez jeźdźca i całą melancholią obrazu.

Pejsaż reprezentowany jest dalej przez *Stankiewiczównę, Maryana Trzebińskiego, Ryszkiewicza, Popowskiego, Cieślewskiego, Czernego, Nałęcza, Manna i Rudzińskiego.*

Znakomite studyum w słońcu, śmiejące się do nas blaskiem słońca i barwą kwiecia, wśród którego klęczy kobieta, dał nam *Gumowski.* Jego studyum jesienne jest fragmentem liści jesiennych o żywej barwie.

Bajecznie kolorowe są postacie kobiet wiejskich modlących się w kościele *Gustawa Pillatiego.* Jego „Dziewczę z książką do nabożeństwa" i „Żyd w słońcu" uderzają siłą wyrazu i życia.

Winifrieda Coopera: pani, leżąca na trawie i pogrążona w czytaniu, dziewczynka, siedząca na tle malw rozkwitłych, odznaczają się również świeżym silnym kolorytem i doskonałym rysunkiem. Jego studyum portretowe w całkiem innym tonie, również bardzo dobre.

Borucińskiego Michała kompozycye dekoratywne: „Pod wiatr" i „Zmierzch" bardzo oryginalne. „Pod wiatr" utrzymana zupełnie w tonie niebiesko-różowym, „Zmierzch" w niebiesko-lila tonie. Wnętrzne sali „na Balu" z swobodą i elegancyą oddane.

Doskonałą rzecz dała nam p. *Münzer-Neumannowa,* jej „Niezadowolone" postaci — 2 dziewczynek tchną życiem prawdziwem, również tło ulicy i postacie na dalszym planie z prawdą artystyczną oddane, oświetlenie bardzo dobre.

Do świata baśni i poezyi wprowadza nas *Wawrzeniecki Maryan.* Ukochał on kolory silne, przepych, bogactwo barw, maluje świat, który sam tworzy w swej poetycznej wyobraźni. Bajka o smoku i króleWiczu — i pławienie czarownicy dają nam wyobrażenie o niezwykłej indywidualności tego artysty.

Alfred Wierusz Kowalski dał nam 3 obrazki z Arabii, noszące cechę jego talentu już ogólnie uznanego i cenionego.

Ignacego *Pieńkowskiego:* „Lekcya" i „Martwa natura " w rysunku i kolorze dobre. *Zofii Plewińskiej* projekt na witraż: „Matka Boska Przędka", pełen poezyi i naiwnej prostoty, witraż *Trojanowskiego* św. Elżbieta wspaniały w kolorycie, budzą nasz podziw.

Portrety: wytrawnego artysty *Henryka Piątkowskiego, Lipca, Maryi Wasilkowskiej, Kramsztyka* odznaczają się poprawnością.

Kwiaty *Stabrowskiego* nęcą oko świeżością barw, również Anemony *Wyczółkowskiego* puszyste i świeże. Akt kobiecy *Lasockiego* bardzo dobry.

Z działu rzeźb dał nam dwie prace znakomite *Edward Wittig.* Jego rzeźby z bronzu: Mężczyzna i kobieta i Wyzwanie odznaczają się pięknością i plastycznością kształtów i harmonią wdzięcznych ruchów.

Celińskiego Świst-Poświst uderza bajeczną lekkością w ruchu i liniami wytwornemi, również rzeźby *Biernackiego i Makowskiego* bardzo dobre.

Wystawa warszawskich artystów powinna zainteresować publiczność poznańską, gdyż zawiera wiele cennych i niepospolitych dzieł.

Zofia Kłossowska.

Z TEATRU.

A. Czechow: „Mewa".

Typowo rosyjską sztukę zaprezentował nam p. Borowski na swój wieczór honorowy. Rosyjską, nie dlatego, że autor jej Rosyaninem lub że odgrywa się w rdzennie rosyjskiem środowisku, lecz dla tego, że osoby w niej występujące noszą w piersiach niesfałszowaną żadną przymieszką obcą duszę rosyjską. Duszę chorą, rozdartą, pełną nieokreślonych marzeń, a niezdolną do czynu.

Tragedyą ludzi o chorej woli możnaby nazwać ten dramat ponury, który jak gorączkowa mara senna ciężkim uściskiem na piersi się kładzie i po przebudzeniu jeszcze trwogą i przygnębieniem umysł napełnia.

Ludzie, których nam Czechow przedstawia, cierpią na atrofię woli. Nie umieją niczego rzetelnie chcieć, nie potrafią się zmagać ani z sobą ani z zewnętrznemi przeciwieństwami, bez walki kapitulują i łamią się w wirze nieprzyjaznych wypadków jak suche badyle na wietrze.

Pesymizm jest najgłębszą treścią tych dusz zdegenerowanych, jest najistotniejszym nastrojem panującym w umysłach tych istot napiętnowanych jakimś strasznym, przygniatającym tragizmem, tem straszniejszym, że źródła jego w patologicznej strukturze ich psychiki szukać należy.

I jest to pesymizm zupełnie specyalny, rosyjski. O szczerości absolutnej jego ani chwili wątpić nie można. Nie ma w nim ani odrobiny pozy. Jestto raczej żywioł, który tak głęboko przejął i przepoił duszę rosyjską, że stał się stałym jej atrybutem...

Przedstawienie tegoż dramatu niejedno pozostawiało do życzenia. Szczególnie rozdanie ról nie ze wszystkiem było szczęśliwe. Tak np. rola Trigorina zdaje się nie leżeć w zakresie zdolności p. Kęckiego. I jeżeli ten jako rutynowany artysta przynajmniej honor salwował, to p. Czajkowska (Masza) jako początkująca aktorka dużo kłopotu miała ze swoją trudną rolą. Co do p. Pawlickiej, to przyznać należy, że rolę swoją znakomicie pojęła. Niestety panował jednak bardzo znaczny rozdźwięk pomiędzy Niną, która się w mózgu artystki skrystalizowała, a projekcyą tego obrazu na ekran sceny. Technika artystki stanowczo nie dorównuje jej intuicyi literackiej. Życzyć by jednak należało przedewszystkiem, żeby artystka zechciała na scenie głośno i wyraźnie mówić. Zwracaliśmy już kilkakrotnie na ten ważny szczegół uwagę, niestety bez najmniejszego skutku dotychczas. Zaznaczamy, że jeżeli pod tym względem nie będzie zmiany, natenczas zmuszeni będziemy wyrzec się referowania o grze artystki.

Znakomitą kreacyę dała nam jak zazwyczaj pani Sznage jako Irena, matka nieszczęsnego Konstantego. To samo należy powiedzieć o p. Andruszewskim, który jako dr. Dorn wystąpił w masce znanej w kołach artystycznych osobistości. Również pp. Czerniak, Boroński i Szatkowski, a także p. Czerniakowa byli bez zarzutu.

Pozostaje nam jeszcze pochwalną wzmiankę poświęcić benefisantowi, który bardzo ładnie wywiązał się z zadania jako Konstanty Treplew. Publiczność witała go owacyjnie oklaskami, również kwiatami go obdarzono. Żałować tylko wypada, że sympatyczny i zdolny artysta obok moralnego sukcesu tylko słaby odniósł sukces materyalny. Widownia bowiem tylko w części była zapełniona.

R.

Czas jest minister; ten wszystko sprawi,
Kto mu się w swoją porę przedstawi.

Kazimierz Brodziński.

* * *

Zdrowy choremu nic nie wytłómaczy,
Bo chory wszystko słyszy i widzi inaczej.

Leon Zienkowicz.

Z bieżącej chwili.

Powstanie w Albanii.

Obecne powstanie w Albanii przybrało wielkie rozmiary. Turcya będzie musiała wytężyć wszelkie siły, jeżeli zechce się uchronić przed wielką kata-



Żołnierz albański.

strofą t. j. przed odpadnięciem od państwa tureckiego całej zachodniej części Bałkanu, ponieważ bardzo jest prawdopodobne, że w razie przeciągnięcia się powstania Albańczyków chwycą za broń także Serbowie w Starej Serbii i Bułgarowie w Macedonii.

Szczepy albańskie, zowiące się Ma-



Albanka.

lissormi i Arnauci, maszerują na główne miasto albańskie Skutari. Powstańcy zajęli już miasta Tori i Kastratit nad jeziorem Skutari; zabili wszystkich żołnierzy, którzy nie chcieli się poddać, albo też nie zdążyli uciec, zniszczyli druty telegraficzne, zburzyli wszystkie gmachy rządowe i spalili w mieście Kastratit gmach sądowy.



Mulaj Hafid, sułtan marokański.

Bunt w Maroku.

Według wieści nadeszłych z Tangeru zbuntowane plemiona berberyjskie zajęły Fez, zdetronizowały sułta-



Marokańczyk.

na Muleja Hafida i proklamowały brata jego Muleja Izmaiła sułtanem marokańskim.

* * *

W Meksyku

z powodu zakończenia rewolucyi zanosi się na poważne zmiany. Prezydent Diaz zamianuje prawdopodobnie ministrami ludzi młodszych, skłonnych



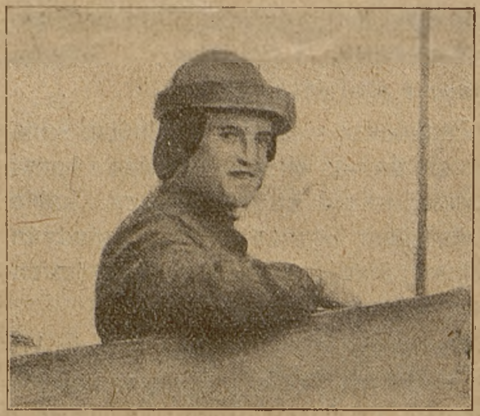
Prezydent Diaz.

do rozmaitych napraw społecznych. Nastąpi rzekomo zupełna zmiana systemu z uwzględnieniem żądań powstańców. Nowy rząd uprawiać będzie politykę postępową.

* * *

Pojedynek amerykański lotnika.

Tragiczne zniknięcie lotnika Cecila Grace'a, który w grudniu r. z. przelatywał nad kanałem La Manche, zajmowało przez długi czas sfery awiatyczne. Znaleziono później czapkę jego, jakieś przyrządy, a wreszcie koło Ostendy jego trupa — i sądzono powszechnie, że Cecil Grace padł ofiarą własnej nieostrożności, wybierając się w podróż napowietrzną w czasie silnego wichru i zimna. Teraz inaczej tłumaczą jego tragedyę. Nowojorskie pismo sportowe „L'Aeronaute“ utrzymuje, że Cecil Grace szukał śmierci



Cecil Grace.

na skutek pojedynku amerykańskiego. Grace kochał się w jakiejś Amerykance, która go odrzuciła, zaślubiając amerykańskiego oficera marynarki. Pomiędzy oficerem a lotnikiem przyszło do pojedynku amerykańskiego, w którego warunkach zaznaczono, że kto wyciągnie czarną gałkę, ten musi się zabić przed 11-tym stycznia. — Oficer rzucić się miał w morze z pokładu okrętu, a Grace, na którego padł wyrok losu, siadł na aeroplan i uniósł się nad morze, zkąd już nie wrócił.

Dumki z kaszubskich pól.

Na zamieszczoną w tegorocznym numerze „Gryfa“ na styczeń i luty krytykę Fr. Sędzickiego „Dumek z kaszubskich pól“ odpowiadam tylko o tyle, o ile chcę wykazać, że zarzuty uczynione tym śpiewkom są najzupełniej nieuzasadnone. Nie uważam natomiast za wskazane, odpowiedzieć rzeczową repliką na krytykę, nie posiadającą żadnego prawdziwego znamiona takowej, lecz ziejącą wprost niepohamowaną zawiścią osobistą. — Otóż najpierw odmawia ów krytyk autorowi prawa używania słowa „dumki.“ Poeta, piszący po polsku, żadną miarą nie potrzebuje zważać na to, czy jakieś słowo odpowiada „duszy pomorskiej“ czy nie, gdyż inaczej tworzyłby chyba — poezye bez słów — albo, czy krytyk z góry pieśniarzom kaszubskim chce zakazać używanie języka polskiego? — Opuszczając umyślnie ostatnią zwrotkę sonetu „O wielki Boże,“ za-

wierającego pokorną modlitwę, podaje go krytyk niesłusznie jako przeróbkę wspanałego hymnu Kochanowskiego „Wszechmocny Panie." Jeżelibyśmy chceli potępiać każdy utwór, będący nieco podobnym do jakiegoś innego, dokądbyśmy doszli? Że i tu zachodzi taki przypadek, że szczególnie poeta nie prześcignął wiekopomnego piewcy przytoczonego hymnu, to mu chyba ujmy żadnej nie przynosi. — Najdziwniejszem, że znowu słowo „górów" będące prowincyonalizmem kaszubskim, a w następstwie tego odpowiadające „duszy pomorskiej," nie znalazło łaski u krytyka. Rozumie się, że „Praca," która przez ogłoszenie przychylnej recenzyi również zasłużyła na ukłócie, bynajmniej nie potrzebuje się troszczyć o to, jakich słów lub zwrotów używają pisarze kaszubscy.

Dlaczego „Gryf" podaje jako oryginalne poezye kaszubskie utwory, przepełnione podobnymi zwrotami, a nawet tak rażącymi germanizmami jak n. p. „muca" (Mütze) i t. p.? — Pragnie krytyk, by sądzono nas nie pobłażliwie, lecz sprawiedliwie. Życzymy mu z całego serca, by sam nigdy nie potrzebował zapragnąć swej pobłażliwości. Radziłbym atoli krytykowi, by na przyszłość zaniechał uwydatnienia w taki sposób gniewu swojego na współpracownika, który nie chciał być jego ślepem narzędziem, — gdyż tchnie to nieco małodusznością.

Franciszek Gliński.



Z powstania w Marokko.
(Patrz artykuł p. t. „Z bieżącej chwilii")

Kasa depozytowa Banku Przemysłowców na Zachodzie.

Ulegając wezwaniom i prośbom, które z Zachodu coraz to częściej, bądź to w korespondencyach do gazet, bądź to w petycyach do instytucyj finansowych się odzywały, postanowił Bank Przemysłowców w Poznaniu, najstarsza i największa Spółka w Poznańskiem, założyć w początkach kwietnia pierwszą filię we formie kasy depozytowej w zagłębiu Ruhry. Po ścisłych informacyach i po osobistem badaniu stosunków na miejscu padł wybór miejscowości kasy depozytowej na Gelsenkirchen, miasto położone w środowisku przemysłowego ruchu w Westfalii.

Filia ta ma służyć do ułatwienia składania depozytów, a tem samem ma budzić zmysł oszczędności. Na wzór tedy licznych kas depozytowych banków niemieckich, mających nieraz kilka, częstokroć kilkanaście kas depozytowych, urządza Bank Przemysłowców tego rodzaju filię, a wybiera obwód przemysłowy westfalski do tego celu, uważając grunt ten za najodpowiedniejszy do wykonania zamiaru.

Wiadomość tę powita zapewne ogół z zadowoleniem. Kto bowiem razem z bystrzejszym robotnikiem sezonowym śledził ruch zarobkowy wychodźctwa i obserwował na jakie trudności napotykają chęci składania pieniędzy i na jakie niebezpieczeństwa składkujący są narażeni wobec nieznajomości stosunków i ludzi, ten przyklaśnie myśli, która będąc od szeregu lat istotną potrzebą, obecnie się urzeczywistnia.

Ileż tu ciężko zapracowanych kapitałów powierzano niebacznie niesumiennym spekulantom, a ileż to więcej z braku zaufania spoczywa bezużytecznie „w marnem przechowaniu!

Tem sympatyczniej należy fakt założenia filii przyjąć do wiadomości, że zajęła się urządzeniem i administracyą jej najstarsza i najpotężniejsza ze Spółek — Bank Przemysłowców, święcący w blizkim czasie złote gody — pięćdziesięciolecia.

Nikt też nie był w tej mierze interesowany w założeniu wpłatni jak właśnie założyciel. Kontyngent depozytaryuszy Banku Przemysłowców bowiem z okolic westfalsko-nadreńskich jest dosyć znaczny. Z drugiej zaś strony przedstawia przeszło ośmiomilionowy majątek własny Banku Przemysłowców najzupełniejszą gwarancyę dla powierzonych mu depozytów.

Lud górniczy, pracowity i oszczędny dopraszał się przyjęcia, nawet „tylko na schowanie" zaoszczędzonych kapitałów.

Manipulacye nierzetelnych banków, a zwłaszcza straty liczne, spowodowane w ostatnim czasie przez bankructwo „Niederdeutsche Bank" mającego filie w Gelsenkirchen uzasadniły i ponowiły nawoływania. Obecnie można będzie zapracowane grosze złożyć w ręce Spółki, cieszącej się już teraz mirem na Zachodzie.

Dotychczasowe zaufanie do Banku Przemysłowców niechaj będzie najlepszą rękojmią dla nowych deponentów, a nam wypada wyrazić życzenie, aby w imię dobra moralnego i materyalnego pracującego ludu pierwsza ta kasa depozytowa jaknajpomyślniej się rozwijała.

KRONIKA.

— Wyrzućmy z domów naszych polskich wszelkie szkodzące nam blaty niemieckie. Niech każdy dba o to, by w domu polskim znajdowała się tylko gazeta polska, bo tylko polska gazeta jest prawdziwa przyjaciółką domu polskiego.

— Tylko stałą, wytrwałą agitacyą można rozpowszechnić gazetę, dla tego prosimy Szanownych Czytelników naszych, aby przy każdej sposobności zachęcali sąsiadów i znajomych do zapisywania sobie „Pracy." „Praca" jest najodpowiedniejszem i najtańszem dla rodzin wszelkch stanów illustrowanem pismem tygodniowem.

— **Ogłoszenie!** Wzywamy niniejszem wszystkich członków poszczególnych komitetów powiatowych, którzy byli czynni przy ostatnich wyborach do parlamentu, aby do 15-go kwietnia podali swe adresy do zarządu głównego Komitetu Wyborczego Polskiego pod adresem: Jan Wilkowski, Castrop, Bladenhorsterstr. 78.

— Od dyrekcyi „Westy," Banku wzajemnych zabezpieczeń na życie w Poznaniu odbieramy pismo następujące:

Na dniu 30-go marca b. r. odbyło się posiedzenie Rady nadzorczej „Westy," na którem przedłożony został bilans i rachunek zysków i strat za rok 1910. Stwierdzono, że wynik pracy zeszłorocznej był najzupełniej zadowalniający i przyczynił się w niemałej mierze tak do znacznego przyrostu stanu zabezpieczeń jak i do dalszego wzmocnienia finansowego instytucyi.

Ogólny stan zabezpieczeń podniósł się w końcu roku 1910 na 7123 polis z sumą zabezpieczoną mk. 16 612 997 w stosunku do 6732 polis i mk. 15 327 257 w roku 1909.

Czysty zysk r. 1910 wynosi po odłożeniu prawem statutem przepisanych rezerw i dokonaniu niezbędnych odpisów

mk. 71 986,20

która to przewyżka pozwala Radzie nadzorczej i dyrekcyi proponować Walnemu zebraniu udzielenie członkom zabezpieczonym

18 procent dywidendy

od pełnej premii rocznej. Certyfikataryusze otrzymają 4 proc. zysku, co stanowić będzie 15 proc. od wartości kuponu.

Śmiertelność była mniejsza od obrachunkowej. Wypłaciliśmy w r. 1910

mk. 239 026 po 99 zmarłych członkach

mk. 100 762,50 członkom za życia.

Ogółem dotychczas wypłacone zostało przez „Westę" do końca r. 1910

mk. 5 960 520,11

Rezerwy „Westy" podniosły się w ubiegłym roku 1910 na

mk. 4 115 973,31

Cały majątek „Westy" wzrósł do wysokości

mk. 4 466 735,21

Takowy umieszczony jest stosownie do przepisów prawa w pupilarnie pewnych hipotekach, w papierach publicznych, w pożyczkach polisowych, w własnej kamienicy, w rezerwie składkowej u tow. reasekuracyjnych, w gotówce kasowej i w bankach.

— **Rozwiązanie.** Na walnem zebraniu Związku Towarzystw dobroczynnych, które odbyło się dnia 30-go marca, postanowiono jednomyślne Związek Towarzystw dobroczynnych rozwiązać z dniem 1-go kwietnia.

Podając tę uchwałę do wiadomości, prosimy uprzejmie w sprawach dotyczących „Związku" zwracać się wprost do niżej podpisanego.

Z polecenia Zarządu:
Ks. Zakrzewski, Poznań, Seminaryum duch.

— **Dar.** Pan Jan Suchowiak z Poznania ofiarował Towarzystwu Czytelni Ludowych 100 oprawnych egzemplarzy dziełka swego „Podręcznik do domowej nauki religii św. rz. katolickiej," za co mu w imieniu Zarządu serdeczne składam podziękowanie.

Poznań, 28. marca 1911.

Dr. Michalski,
bibliotekarz główny T. C. L.

— **Kasa Oszczędności. Złota Skarbona Rybaki nr. 6.** założona w roku 1908 zupełnie pomyślnie się rozwija. Liczba deponentów z roku na rok się zwiększa, i tak kiedy od roku 1909. liczyła 471 depozytaryuszy, to w ubiegłym 1910 r. liczba ich wzrosła do 568.

Kasa otwarta we wtorki i czwartki od 4-tej—6-tej po południu, a w niedzielę od pół do 12-tej—1-szej w południe. Wkłady można uskuteczniać nie tylko za pomocą znaczków wlepianych do kart, ale także i gotówkowe.

Znaczki są do nabycia w następujących składach: H. Błażejewski, św. Marcin 68. St. Chmielewski, W. Berlińska 54. J. Czepczyński, St. Rynek 8. St. Dressler, Środka 12. W. Dworczak, N. Rynek 9/10. A. Dybicka, św. Marcin 61. A. Dzieciuchowiczowa, Rybaki 6. P. Dzikowska, św. Marcin 32, K. Ignatowicz, Stary Rynek 67/68. H. Iłowiecka, Ces. Wilhelma 23. E. Iłowiecka, Strzelecka 23/24. W Jagodziński, św. Marcin 34. L. Kalas, ul. Forteczna 18. J. Kamiński, Nast. tronu 12. Lewandowski, Mał. Garbary 8. Król, Grobla 7. Offierski drogerya, Chwaliszewo 3. T. Neyman (W. Wojciechowski), św. Marcin 46. M. Okoniewska, Teatralna 6. B. Śniegocki, Rycerska 38 Z. Śniegocki, W. Berlińska 63. M. Stawujek. W. Garbary 4. J. Wawrzyniak, pl. Królewski 6. 7. Wolińska, Szeroka 10 M. Wrzesiński, pl Wroniecki.

Nekrologia.

† **Ś. p. ks. Józef Jezierski**, pleban orłowski i jubilat, zmarł dnia 1-go b. m. w 83-cim roku życia w Orłowie, gdzie się odbył pogrzeb dnia 4-go b. m. — **Ś. p. Edward Abrahamczik**, zakończył życie w Śmiełowie w Poznańskiem, przeżywszy lat 63, z których 40 spędził na sumiennej i gorliwej pracy nad kształceniem młodzieży. — **Ś. p. Teodor Lutomski**, weteran z roku 1863-go, dnia 30-go z. m. w Inowrocławiu, przeżywszy lat 78. — **Ś. p. Kazimira Pertek**, dnia 31-go z. m. w Trzemesznie. — **Ś. p. Emilia z Ortlebów Paczkowska**, dnia 31-go z. m. w Poznaniu. — **Ś. p. Stanisław Szeląg**, dnia 30-go z. m. w Gnieźnie, przeżywszy lat 36. — **Ś. p. Franciszek Wiśniewski**, dnia 30-go z. m. w Szymborzu, przeżywszy lat 16. — **Ś. p. Mieczysław Kinowski**, dnia 2-go b. m. w Gnieźnie. — **Ś. p. Jadwiga Stęślicka**, dnia 1-go b. m. w Hucie Laury na Górnym Śląsku. — **Ś. p. Antoni Krzycki**, dnia 1-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 60. — **Ś. p. Walerya z Ziółkowskich Wróblewska**, matka ks. Władysława Wróblewskiego, dnia 3-go b. m. w Poznaniu na Jeżycach. — **Ś. p. Franciszek Żelichowski**, dnia 3-go b. m. w Gnieźnie w 58-mym roku życia. — **Ś. p. Marya Wachnicka**, dnia 2-go b. m. w Poznaniu. — **Ś. p. Irena Stanówna**, dnia 2-go b. m. w Starogardzie w Prusach Zach. w 22-gim roku życia. — R. i. p.

Od Redakcyi.

— **Czytelni Polskiej w Paskanach.** — Bliższej informacyi udzieli p. Z. Śniegocki („Camera") w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej — 37. — Posen Ritterstrasse 37.

— **Pani Jadwidze S. w K.** — Wiersz za słaby do druku.

— **Panu Janowi P. na obczyźnie.** — Za życzenia tak szczeremi słowy wyrażone i za uznanie dla naszej pracy serdecznie jesteśmy wdzięczni.

— **Panu Władysławowi D. w Montowie.** — 1) M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski nr. 3. — Posen Wilhelmsplatz nr. 3., 2) I. Leitgeber Poznań, ulica Wilhelmowska nr. 18. — Posen Wilhelmsstrasse nr. 18.

— **Panu Bernardowi G. w W. (Prusy Zach.)** — Dziękując za łaskawą pamięć, uznajemy dobre chęci Szan. Pana, ale wiersza nadesłanego jako zbyt słabego i błędnie co do ortografii i t. d. napisanego, zamieścić nie możem.

— **Panu S. w Magdeburgu.** — Owszem, prosimy o wiadomą fotografię i o krótkie wspomnienie pośmiertne.

— **Panu C. P. w Poznaniu.** — Artykulik nadaje się do pism codziennych. Dziękujemy za łaskawą pamięć.

— **Panu Władysławowi Nowakowi na Wildzie.** — Piszesz Pan, że artykuł p. t. „Matka Jagiellonów" zamieszczony w 13-tym zeszycie „Pracy" zawiera **wiele** sprzeczności, a na dowód potrafisz Pan przytoczyć tylko **jedną** i to **pozorną** sprzeczność. Mianowicie, dziwnem się Panu wydaje, że św. Jan Kapistran, lubo że nie umiał po polsku, co wynika z tego, że przy ślubie królewskim asystował mu Zbigniew Oleśnicki, lud krakowski kazaniami zachwycał.

Odsyłamy Pana do Żywotów Świętych Skargi (Wiedeń 1860. Nakład księgarni OO. Mechitarzystów tom II. str. 336.) Z książki tej dowiesz się Pan, że św. Jan Kapistran **„przez tłumacza** nauczając drogi Bożej, czynił wielką pomoc zbawieniu ludzkiemu." „Kazał **po łacinie sam** z wielką ochotą i serc ludzkich wzruszeniem, a po jego kazaniu **tłumacz zaś językiem wszystkim rozumianym słowa jego wykładał.** Ale, choć nierozumianego, lud pilniej słuchał niż tłumacza, i przewłóczyło się kazanie drugie na pięć godzin, długość, zimno i ciasne stanie żadnemu się nie przykrzyło."

Oto jak łatwo rozwięzuje się zagadka... Innych „sprzeczności" — nawet pozornych — w artykule tym oczywiście nie ma. Nie zwykliśmy bowiem umieszczać w „Pracy" artykułów bezmózgowych autorów, bo tylko takiemu zdarzyć by się mogło, żeby zaprzeczał w drugiej części artykułu temu, co twierdził w pierwszej.

— **Panu J. D. w Szczecinie.** — Nadesłana szarada jest zamieszczona w dzisiejszym numerze. Dziękujemy za łaskawą pamięć.

— **Panu St. Zb. w Poznaniu.** — Dziękujemy za łaskawą pamięć. Znane to rzeczy, więc „szkoda czasu i atłasu," aby o tem nawet słówkiem wspomnieć.



U stóp krzyża.

PIEŚŃ WIELKOPOSTNA.

Już Tydzień Wielki. Czas ugiąć kolana,
Wznieść myśli nasze do Chrystusa Pana,
Który w Ogrójcu krwią pocił się cały,
Aż go pocieszył z niebios Anioł biały.

O! umęczony Chryste Zbawicielu
Pomnij Ty na nas. Pośród ludów wielu
Myśmy wydani na męki Ogrojca,
Więc wstaw za nami się do Boga Ojca.

Niech Anioł zstąpi Pocieszyciel z nieba
I sił moralnych nam doda co trzeba,
Byśmy na duchu nie upadli w trwodze
I szli odważnie po życiowej drodze.

I.

I Go na męki krzyżowe pojmali
I cierniem skronie ukoronowali;
Ciało od bicia, jakoby u kwiatu
W krwawe płateczki zakwitło granatu.
Krzyż Mu włożyli na słabe ramiona
I do pomocy mu wzięli Szymona,
Gdy już upadał pod krzyża brzemieniem,
Więc się ulituj nad naszem cierpieniem
Ty, coś sam cierpiał bez liczby, bez miary,
Przebacz nam grzechy, odwróć słuszne kary.
W czas wielkopostny naród się uniża,
O! Chryste, ulżyj nam ciężaru krzyża!

II.

(„Ojcze, odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią“.)
Ukrzyżowali Baranka bez winy;
Konał na krzyżu trzy długie godziny,
A gdy w konaniu Mu usta siniały,
O przebaczenie dla katów wołały:
„Odpuść im Ojcze, co czynią, nie wiedzą,“
Niech i nad nami Twe usta powiedzą,
Że nieświadomi za złe, co się stało,
Duch nasz jest silny, ale słabe ciało,
Więc zbłądziliśmy, ale Chryste Panie
Odwróć Ty od nas choć słuszne karanie.
Przebacz nam, przebacz miłosierny Boże,
W czas wielkopostny prosim Cię w pokorze.

III.

(„Dziś będziesz ze mną w raju.“)

I rzekłeś Panie do pełnego skruchy
Łotra na krzyżu, że go Świętych duchy
Dziś powitają u niebiosów proga,
Że Ty sam staniesz z nim u tronu Boga.
„Będziesz dziś w raju ze mną“. Czyż za nami
Ty też zaświadczysz przed Boga sądami,
Żeśmy cierpieli jako ten łotr-zbójca,
Któregoś zawiódł przed Twojego Ojca?
I że my także korzymy się w skrusze?
O! poleć Ojcu Ty też nasze dusze!

IV.

(„Oto Matka Twoja, oto Syn Twój.“)

A gdy udręczon Twój duch był już wielce,
Wzrok Twój spuściłeś ku Twej rodzicielce,
Na której twarzy boleść wyrzeźbiła
Piętno swe straszne. „Jan, to matko miła —
Syn Twój, Ty, Janie, to jest matka Twoja
Po mojej śmierci; — taką wola moja.“
Tak rzekłeś, Panie, boś ucznia i matki
Nie chciał zostawić, jak sieroce dziatki,
Tak opuszczonych i samych na ziemi.
Więc miej też litość nad tymi biednemi,
Co są jak ptaszki z gniazda wyrzucone.
Kędyż ich gniazda? W jakąż wzlecą stronę?
Czyż lepsza dola kiedy im zaświeci?
O! miej w opiece Swej sieroce dzieci,
Stroskane matki, bezdomnych tułaczy,
Niech z nieba Ojciec na nich wejrzeć raczy!

V.

(„Boże mój, czemuś mnie opuścił.“)

Lecz duch Twój, Panie, cierpiał już tak srogo,
Że ból śmiertelny napełnił Cię trwogą,
Że Ci się zdało, że nie dba o Ciebie,
Że Cię opuścił własny Ojciec w niebie.
Wtedy boleśnie obwisła Ci głowa
I w strasznym bólu wyrzekłeś te słowa:
„Czemuś opuścił mnie — Syna, Ty Boże?“
Czemuś opuścił pytamy w pokorze
Twe biedne dziatki? Czyż nie widzisz, Panie,
Że życie nasze, to jakby konanie
W niemocy ciała i w ducha niemocy?
O! daj nam, Panie, więcej ducha mocy!
Niech duch nie wątpi i niechaj nie słabnie,
A krzyż go żaden, ni męka nie nagnie;
Gdy karzesz ciało, Wszechmogący Panie,
Niech duch wśród męki silniejszym się stanie.
A gdy na śmierci legniemy już łoże,
W chwili konania stań przy nas, Ty Boże.
Jako w odlocie ptaki — nasze dusze,
Przyjm je, o Panie, błagamy Cię w skrusze.
O! nie opuszczaj nas w śmierci godzinie
Ty Ojcze — Boże i Ty Boży Synie!

VI.

(„Pragnę.“)

Jak kwiat, z którego skwar soki wypija,
Barwę swą traci i liście swe zwija,
Tak barwa życia gasła na Twej twarzy
I rys się prężył od ognia, co parzy
Wewnątrz płomieniem i zbladłeś, jak chusta,
A popękane od pragnienia usta
Wyrzekły „pragnę“, — to słowo jedyne, —
Syn Boży pragnął w Swej śmierci godzinę.
Żółć Mu i ocet dali do ochłody,
Gdy On zapragnął parę kropel wody.
Kwiat rosę pije i każda ptaszyna —
Nie było wody, dla Bożego Syna!
„Pragnę“ wymówił spieczonemi usty,
Lecz nie rozwarły się niebios upusty,
Ni z głębi ziemi nie wytrysnął strumień,
A ludzie stali jakoby bez sumień,
Cisi i niemi, a nad nimi w górze
Na czarnem drzewie w krwi Swojej purpurze
Rozpięte strasznie Chrystusowe ciało
Pod niebios dachem straszliwie bielało.
A jakoś pragnął w Twej skonu godzinie,
Daj nam pragnącym zdrój łask Boży Synie!

VII.

(„Consumatum est“ — „Dopełniło się“.)

A gdy już skonu nadeszła godzina —
„Est consumatum“ z ust Bożego Syna
Wypadły słowa, że się dopełniło,
To, co prorokom przed wieki się śniło,
Że się prorocze słowo czynem stawa,
Że się spełniła już ofiara krwawa,
Że każdy kolec w skroń Chrystusa wbity
Mózgu dosięga i krwią jest opity,
Że bić przestają już tętna u skroni
I u rozdartych gwoździem nóg i dłoni,
Że krwi po krzyżu ściekające krople
Już się zmieniają w tężejące sople,
Że ziemia cała u podnóża krzyża
Krwią się aż płoni, że się chwila zbliża,
W której już Chrystus pochyli swą głowę,
A duch opuści ciało Chrystusowe
I poszybuje ponadniebnym lotem
W niebo do Ojca Swojego z powrotem
I po prawicy Jego tam zasiędzie.
O! wznoś za nami tam Chryste orędzie,
Niechaj już będzie kar przebraną miara,
Bo się spełniła już krwawa ofiara!

VIII.

(„Ojcze, w ręce Twoje oddaję ducha mojego.“)

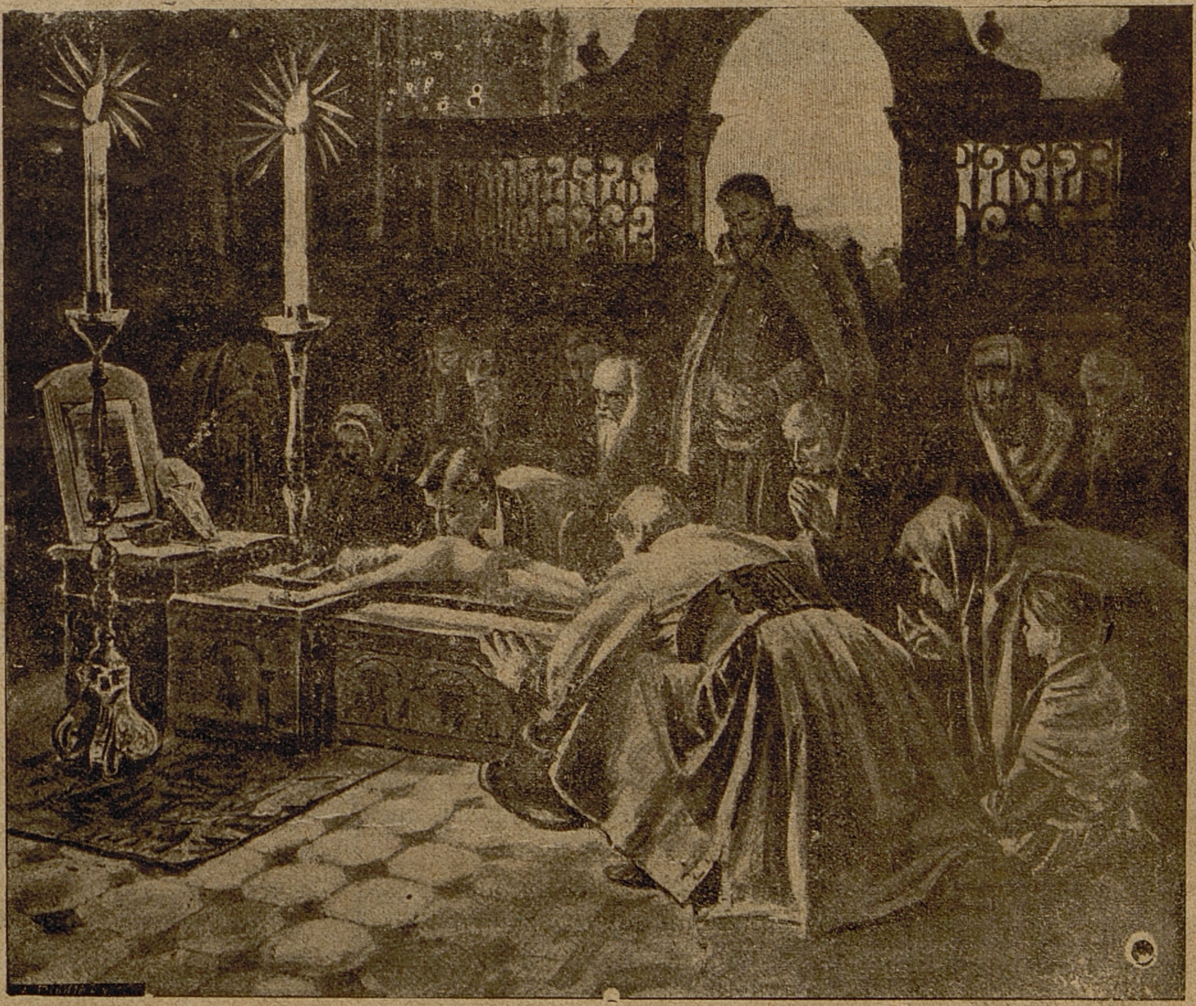
I skłonił na dół konającą głowę,
Po której biegły krople purpurowe,
A z ust Mu nakształt westchnienia cichego:
„Ojcze, w Twe ręce przyjm ducha mojego“,
Wybiegły słowa i skonał w tej chwili
I bok Mu jeszcze po śmierci przebili.
I naraz ziemia w elipsach zadrżała,
Pod krzyżem tłuszcza przerażona drżała.
Słońce strwożone w chmury skryło lica
I zgasło nagle jakoby gromnica,
Którą zagaszą, kiedy chory skona; —
W świątyni pękła na dwoje zasłona.
A z wnętrza ziemi przelękłej do głębi
Proch ludzi zmarłych porusza się, kłębi,
Skupia się w kształty; — lud z trwogą spoziera,
Każda mogiła z trzaskiem się roztwiera
I świat żyjących widzi świat nicości, —
W zgniliźnie grobu pruchniejące kości.
Świat cały zadrżał i uczuł się niczem
Przed tem stygnącem Chrystusa obliczem.
Na twarz żydowskie popadały roty
Przed Tym, co skonał na drzewie sromoty.
A jakoś ducha Twego oddał Panie

Ojcu Twojemu, — niech z nami się stanie.
I dusze nasze Sam oddaj zaiste,
Twojemu Ojcu, o Ty Jezu — Chryste!

IX.

I owa chwila, gdy ofiara krwawa
Się dopełniła, przed oczy mi stawa
Dziś w wielkopostną noc cichą, kwietniową.
Księżyc mgły lotne dzierżga mi nad głową
W blaski srebrzyste i sen precz ucieka,
A ja rozważam śmierć Boga-Człowieka.
Widzę wyraźnie ten krzyż, co ramiona
Drzewne rozpostarł, a na drzewie kona
Bóg, co się okrył, jak purpurą tronu,
Krwi Swej purpurą w chwili Swego skonu.
Dzień Jego skonu, to dzień Jego chwały.
I krzyż ten widzę od krwi poczerniały,
Co aż ku gwiazdom hen, do nieba sięga
I w jedno ziemię z niebiosami sprzęga.
Na czarnem drzewie, jako kwicie astru,
Bieleje ciało jakby z alabastru.
A jak postronki prężone co siły,
Tak naprężone w ciele sine żyły.
Zda mi się, słyszę, jak żelazo zgrzyta
Gwoździ, któremi Twa postać przybita
Na krzyż i widzę, jak w skroń Twoją wbite
Pęcznieją kolce krwią Twoją opite.
Jak konające serce mdleje w łonie. —
O! bądź pochwalon w cierniowej koronie,
Monarcho większy nad monarchów świata,
Niech krzyż Twój ziemię z niebiosami zbrata
I wybaw lud Twój przez Twe święte rany,
O! wybaw lud Twój, Twój, Ty Ukrzyżowany.
Mrok nas otacza, niech światłość się stanie,
W czas wielkopostny wysłuchaj nas Panie!

Stefania Tucholkowa.



Piotr Stachiewicz. **Boże Groby.**

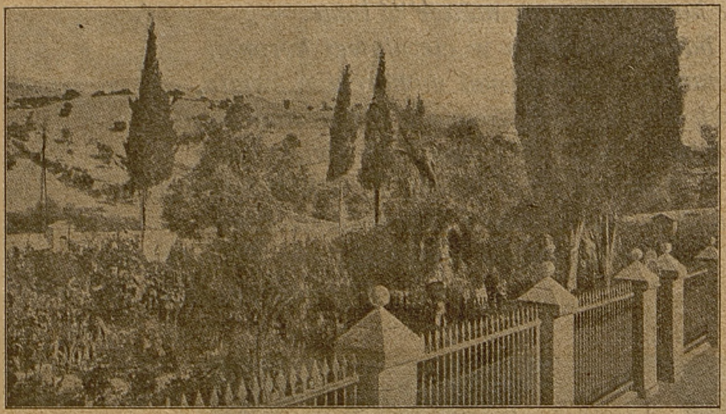
W niedzielę Palmową.

Z polskich legend ludowych.

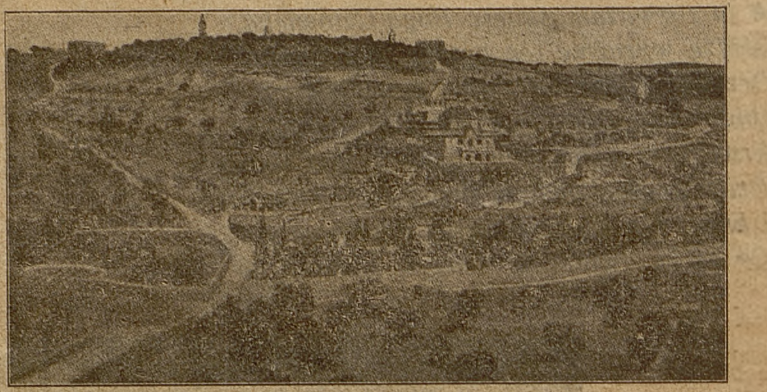
W kwietną niedzielę Palmową, ledwie świtać zacznie, powstaje gwar wielki w zaroślach. To naradę ważną odbywają skowronki okoliczne, które gromadami zleciały się tu dzisiaj w gęstą łozinę nad potokiem, przerzynającym orne niwy chłopskie. Kiedy sejmik się skończy, odlatuje ptaszyna jedna, przez towarzyszy wybrana i krąży nad przydrożnym krzyżem z Męką Pańską, dopóki reszta skowronków nie ukończy swej pracy nad brzegami potoka. Robota to zaś nielada. Oto wiją ptaszki śliczną palmę, stokroć piękniejsza od najsutszej z owych palm baziowych, jakie niebawem w kościele święcic będą ludzie.

W blaskach zorzy porannej, o samym słońca wschodzie, z tą palmą — dzióbkami śpiewaków Maryi splecioną misternie — ulatuje wybrany skowronek w niebo z nad pól, znojem ludzkim zroszonych. Odprowadzają go towarzysze pod obłoki, za któremi za chwilę zniknie im z oczu na długo...

A kiedy chór skrzydlaty wyśpiewuje nad rolą „anielskie witanie,“ święty Piotr otwiera bramy niebieskie najgodniejszemu skowronkowi, żeby go przez gęsty las białych lilijek prze-



Ogród w Getsemane.



Góra Oliwna.

puścić do tronu Jasnej Pani, która z radością wita małego wysłańca swoich ulubionych śpiewaków. I rączką białą odbiera Niebios Królowa od ptaszyny palmę z naszych siół i dziękuje mu słodkiem słowem, poczem idzie z nim do Syna swego i do stóp składa palmę z ziemi Niebieskiemu Panu, który gościa miłego po drobnej główce gładzi wdzięcznie dobrą ręką.

I pyta go Pan Jezus łaskawie, co też tam słychać w naszych stronach — czy się dobrze dzieje biednym ludziom...

A skowronek w odpowiedzi śpiewa długo, długo swoim rzewnym głosem — aż łzy się zakręcą w oczach Zbawiciela...

...Gdy na południe jękną dzwony w naszych wsiach, wracają ludzie z kościoła, każdy z palmą poświęconą w ręku. Mijają pola swoje z nadzieją w sercu i wzrok podnoszą ku obłokom, z których powraca skowronek ze swej gościny niebieskiej. Uważnie słuchają dziś wieśniacy jego śpiewu; wszakże ten ptaszek niesie im słowa pociechy, jakiemi przed chwilą Chrystus pożegnał go w niebie...

Poczciwe skowronki to przyjaciele najwierniejsi naszego kmiecia. Od wieków zawsze dobre nowiny przynoszą mu hen, z za obłoków... Oto jak raz było:

Szedł Piast za pługiem po swej roli, śpiewając pieśń do Bogarodzicy. Wokoło pustką leżały niwy. Hen, w dali tylko bieliła się chata kmiotka, schludnością świecąc, lubo niezamożna. Śpiew ustał. Piast orał dalej wśród ciszy. Wtem jęła go się jakaś dziwna tęsknota, co niewiadomo, skąd przyszła. Czuł dotkliwie swoją samotność w szczerem polu. Już z żalem ku niebu podniósł oczy, że Bóg niczem nie ożywi pustki rolnikowi w jego znoju, gdy nagle pług obsiadły nieznane przedtem ptaszęta i zwróciły uwagę kmiecia głośnym szeptem. Przyjrzał się im bacznie.

— Podobne — rzekł — ale przecież nie wróble...

Chciał pochwycić jednego, ale ptaszki spłoszone frunęły.

Nadeszła niebawem Rzepicha, niosąc mężowi w trojaczkach posiłek na południe. Teraz oboje zobaczyli, jak te same ptaszki goniły po roli za owadami. Rzepicha również zapewniała Piasta, że nigdy przedtem nie widziała takich dziwnych wróbli.

Wtem jeden z tych ptaków, śpiewając prześlicznie, niby słowik, zaczął wzlatywać z roli prosto w górę... Leciał coraz wyżej, wyżej, aż hen, w obłokach zawisł na chwilę, trzepocząc skrzydłami i wciąż zawodząc swe pienia. Potem zwolna zaczął się spuszczać na dół — aż wreszcie, jak kamyk, spadł na ziemię z powrotem i pieśń swoją urwał... Po nim to samo robili kolejno jego towarzysze.

Kiedy Piast i jego żona z wielkiem zajęciem przypatrywali się temu, nadszedł sąsiad ich, imieniem Skowron, znany we wsi bezbożnik, rabuś i podpalacz, który pozostał poganinem, nie chcąc uwierzyć w Chrystusa.

Właśnie znowu obsiadły pług Piasta owe ptaszęta, gdy się zbliżył Skowron. Wtedy Rzepicha nachyliła się ku skrzydlatym śpiewakom, pytając:

— Cóżeście tam, ptaszęta, widziały w obłokach?

A na to ptaszki odparły chórem:

— Byłyśmy w progu nieba i widziałyśmy Pana Jezusa...

— A Matka Jego tam była? — spytał Piast.

— Siedziała u boku Chrystusa... Na Jej to cześć śpiewamy, bo wam kazała powiedzieć, że Syn Jej najbardziej ubogich chłopków miłuje.

— A słyszysz ty, grzeszniku pogański? — odezwała się Rzepicha do Skowrona, potem spytała jeszcze:

— Moje ptaszki, a nic wam Pan Jezus nie mówił?

— Kazał nam mieszkać na roli — chórem odpowiedziały ptaszyny — i śpiewać nad polami, żeby uprzyjemniać ciężką pracę rolnikowi.

— O, Bóg wam zapłać, ptaszęta, za to... — i Panna Marya, której śpiewacie w obłoku! — zawołali Piastowie, a za nimi powtórzył i Skowron, który odtąd uwierzył w Chrystusa, porzucił bożki pogańskie i zaczął wieść życie uczciwe, jako Bóg przykazał.

Na tę pamiątkę Rzepicha skowronkami nazwała śpiewaków Maryi, które nawróciły grzesznika Skowrona; o nim zaś Piast pamiętał, gdy od pługa został królem i zrobił go swoim skarbnikiem.

Pamiątki Męki Pańskiej.

Wszystkie pamiątki bolesnej Męki i śmierci Jezusa znajdują się w Jerozolimie.

Można powiedzieć, że na każdym kroku spotyka się tu ze świadkami cierpień i męczarni Jezusa i Maryi.

Jezus po wieczerzy Pańskiej i po ustanowieniu Najśw. Sakramentu udał się na Górę Oliwną, gdzie rozpocząć się miało męczeństwo Jego. Góra ta leży na wschód od Jerozolimy, w pobliżu świątyni, gdzie Zbawiciel często bywał.

Tam się modlił, tam spędzał noce na modlitwie w ogrodzie Getsemańskim. Słowo Getsemani oznacza „prasę do oliwek" i jest dowodem, że w ogrodzie tym wyciskali żydzi oliwę z owoców drzew oliwnych, które, jak świadczy nazwa góry, obficie rosły w tem miejscu.

Na górze tej zaczęło się męczeństwo Jezusa i przez to stała się ona miejscem uświęconem; tam cierpiał On przedtem jeszcze, gdy był w samotności, tam odbyło się męczeństwo Serca Jego.

Cierpienie Zbawiciela bezmierne

było jak morze. I tam w ogrodzie Getsemańskim, gdy cierpiał tak strasznie, Anioł z nieba przybywał, by go posilać. I tam „stał się pot Jego, jako krople krwi spadającej na ziemię,“ słowa te po łacinie: „Hic factus est sudor ejus sicut guttae sanguinis accurientis in terram,“ można wyczytać na płycie marmurowej, umieszczonej w grocie, gdzie rozpoczęła się Męka Pańska. — Duża to grota, a znajdują się w niej trzy ołtarze.

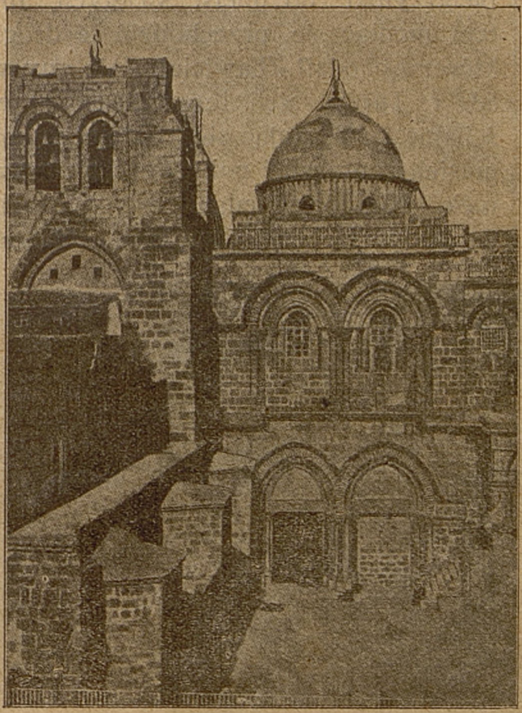
Cała góra Oliwna, to wielki relikwiarz, pełny wspomnień najwznioślejszych. Oto opodal groty, od niej o tyle „jakoby mógł cisnąć kamieniem,“ skała, przy której Jezus rzekł towarzyszącym mu w onej wielkiej chwili Piotrowi, Jakóbowi i Janowi: „Smutna jest dusza moja aż do śmierci, zostańcie tu, a czuwajcie.“ Ale oni zasnęli, podczas gdy On modlił się i walczył.

Blisko skały tej jest wejście do Ogrójca. Ojcowie Franciszkanie w miejscu tem utrzymują piękny ogród kwiatowy, a każdy pielgrzym bierze stąd kwiat na pamiątkę. Jest tam jeszcze ośm drzew oliwnych, bardzo starych, zeschłych już prawie, a tradycya bardzo poważna twierdzi, że istniały one już za czasów Zbawiciela.

W pobliżu Jezus spotkał rzeszę „z mieczami i kijami, posłaną od przedniejszych kapłanów i starszych ludu,“ a prowadzoną przez Judasza. Kolumna strzaskana oznacza miejsce, w którem to się stało. W dali przeciwległej strony doliny zwanej Gehenną, znajduje się łan Haseldama, który był zapłatą za Krew Zbawiciela. Pokazują też miejsce, w którem wedle tradycyi zdrajca Judasz miał się powiesić.

Rzesza pojmawszy Jezusa zaprowadziła Go do pałacu Annasza położonego na górze Sion. Przeszli potok Cedron w miejscu dziś jeszcze wskazywanem. Historya powiada, że Jezus upadł tam i tak spełniła się przepowiednia, iż „pić będzie wodę z potoka.“ Pokazują tam jakoby ślad nóg Chrystusowych, mało już dostrzegalny.

Idąc za Jezusem po tej drodze męczeńskiej przejść się musi wzdłuż całej doliny Jozafata. Dolina ta to olbrzymi cmentarz, na którym żydzi w oczekiwaniu sądu ostatecznego, który tam się ma odbyć, każą chować swe zwłoki. Groby ich łatwo poznać po kamieniach zdobiących je; na wielu widoczne są twarze o charakterystycznych rysach narodu, który umęczył Zbawiciela. W dolinie Jozafata sporo jest grobów osobistości zapisanych w dziejach świętych. Jest grób Absalona, na który Muzułmanie rzucają kamienie przeklinając niewdzięcznego syna.

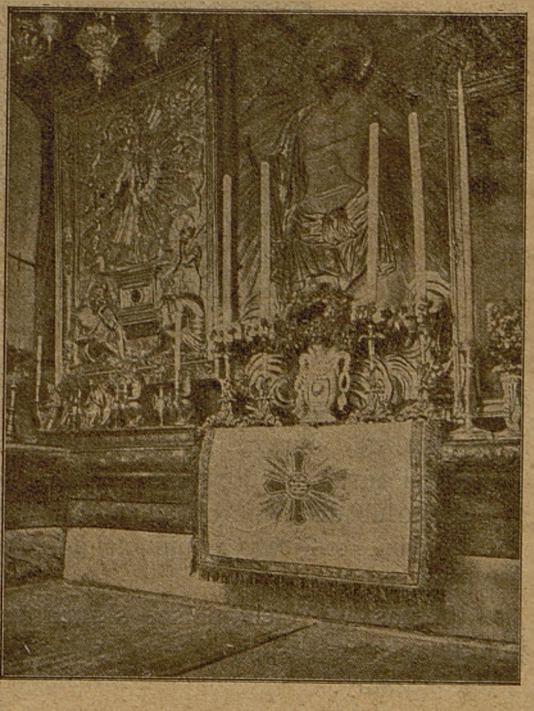


Kościół św. Grobu w Jerozolimie.

Zamieszczone ryciny: ogród w Getsemane, góra Oliwna, wieczernik, kościół św. Grobu i wnętrze tegoż kościoła obrazują nam te święte dla każdego chrześcianina miejsca.

Na Golgotę.

Po kościołach światła płoną,
Smutno jęczy dzwon...
Łzą żałoby wzbiera łono
Na Chrystusa skon.
Grają dzwony, smutno grają,
Wśród żałosnych ech;



Wnętrze kościoła świętego Grobu w Jerozolimie.

W ukorzeniu serca tają,
Pierś wstrzymuje dech.
Wiatr po lasach smutno szumi,
Jakby jęcząc, gra;
A choć oko łzę przytłumi,
Jednak serce łka.
Idźmy z Panem na Golgotę
Wśród cierpień i mąk —
Złóżmy przed nim swą zgryzotę,
Skurcz niewolnych rąk!
Idź więc z Panem, a u Krzyża
Kornie z modły stań!
Niech się głowa tam twa zniża
Wśród błagalnych łkań.
On wysłucha twe błaganie,
On — co zmarł za lud —
Przyjdzie szczęścia Zmartwychstanie —
Zniknął płacz i trud.

Antoni Socha.

Stacye Męki Pańskiej.

Obecnie podczas postu, czasu umartwienia i smutku, ludzie napełniają kościoły, śląc pokorne błagania do Pana Zastępów o darowanie win popełnionych i o błogosławieństwo w życiu.

Jakżeż chętnie zwiedzamy miejsca zamieszkiwane przez drogie nam osoby, w których przepędziliśmy życie z niemi, w radości i smutku. Zwiedzamy je zawsze chętnie, ale tem chętniej, gdy nas boleść, a smutek przytłoczy.

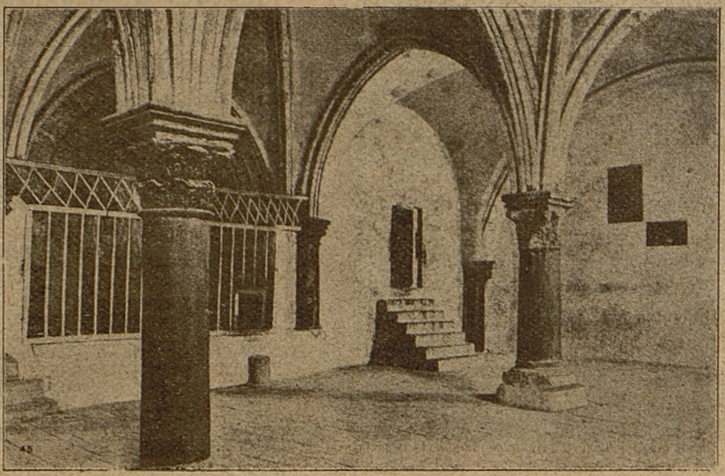
Nie ulega wątpliwości, że Matka Chrystusowa i Apostołowie pierwsi w Jerozolimie obchodzili drogę bolesną, przebytą przez Zbawiciela w ostatnich chwilach Jego pobytu na tej ziemi, w chwilach Jego boleści i mąk. Odtwarzali sobie w myśli boleści Jego, rozrozmyślali nad ogromem mąk i cierpień. Modlili się do tego, z którym niedawno żyli i rozmawiali na ziemi.

Był to zapewne pierwszy początek stacyj Męki Pańskiej, jakie my obecnie obchodzimy.

Droga Krzyżowa, którą Zbawiciel odbył, zaczyna się od Pałacu Piłata, aż do miejsca ukrzyżowania na górze Kalwaryjskiej. Wynosiła ona około tysiąc kroków, czyli około sześciuset metrów.

Dzielnica, przez którą droga krzyżowa wiedzie, zajęta jest dziś przez wyznawców Mahometa. Pałac Piłata, który skazał Pana Jezusa na śmierć, połączony był z koszarami wojskowemi. W jednem z podwórzy wewnętrznych jest kaplica, która nam wskazuje, gdzie Zbawiciel był biczowany. Naprzeciwko kaplicy znajduje się brama

zamurowana, za którą były schody prowadzące do sali pretora. Stopnie tych schodów zabrała cesarzowa Helena, matka Konstantego Wielkiego, i zawiozła do Rzymu. Z tych schodów Piłat pokazał żydom Chrystusa, poranionego powrozami i rózgami, okrytego płaszczem szkarłatnym i cierniem



Wieczernik na górze Syon.

ukoronowanego, mówiąc do nich: „Oto człowiek!“ W tem to miejscu tłum żądał od Piłata, aby potępił Chrystusa.

W tem właśnie miejscu rozpoczynają się stacye.

Druga jest w miejscu, gdzie Zbawiciel wziął krzyż na swe ramiona i udał się na Kalwaryę.

Stąd jest blisko 233 metrów do trzeciej stacyi, gdzie Chrystus upadł pierwszy raz pod krzyżem. Nieopodal jest miejsce, gdzie Jezus spotkał Matkę Swoją i tu jest stacya czwarta.

Od tego spotkania ledwie 12 metrów zdołał Chrystus dźwigać krzyż. Tu osłabł i dopiero przy pomocy Szymona Cyrenejczyka mógł iść dalej. Miejsce to tworzy stacyę piątą.

86 metrów dalej św. Weronika, zlitowawszy się nad Panem Jezusem, obtarła mu twarz chustą, a miejsce to uważamy jako stacyę szóstą.

Na przecięciu dwóch dróg, prowadzących za miasto, stała brama, przy której upadł Jezus po raz drugi. Miejsce to tworzy stacyę siódmą.

Około 35 metrów dalej, gdzie Jezus mówił do płaczących niewiast, jest stacya ósma.

Reszta góry Kalwaryi nad tą stacyą jest zupełnie zawalona, tak że trzeba się zwrócić do stacyi siódmej, aby dojść do kościoła Świętego Grobu, gdzie Zbawiciel upadł po raz trzeci.

Stacye 9, 10, 11, 12 i 13 połączone sa razem w tym samym kościele Grobu Chrystusa Pana. Stacya 14 znajduje się pod wysoką kopułą wznoszącą się przy tym kościele.

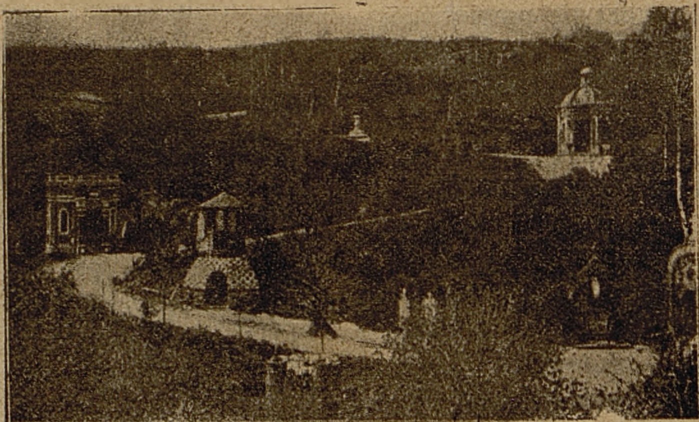
Gdy pod koniec IV. wieku cesarz Konstantyn Wielki obdarzył Chrześcijan wolnością, zaczęły się pobożne pielgrzymki do miejsc świętych, aby tam modląc się, przechodzić te drogi, któremi chodził Zbawiciel. Ale gdy w 637 r. Turcy zajęli Jerozolimę, Chrześcijanie, nie czując się bezpiecznymi, musieli zaprzestać pobożnych pielgrzymek. Niektórzy jednak, nie zważając na żadne niebezpieczeństwa, udawali się do Jerozolimy, gdzie wpadali w ręce niewiernych, którzy okrutnie znęcali się nad ofiarami, żądając drogiego okupu.

Trwało to do VI. wieku, gdy rycerze chrześcijańscy, na pewien czas, wyrwali Jerozolimę z rąk niewiernych.

Trudności te pobudziły Chrześcijan do naśladowania miejsc Męki Pańskiej i w rozmaitych krajach powstawały Kalwarye czyli Drogi Krzyżowe, jako też w Polsce.

Ponieważ nie każdy mógł udać się nawet i do takiej Kalwaryi, naśladującej prawdziwą, poczęto po kościołach umieszczać obrazy przedstawiające Mękę Pańską i, odbywając pochód od jednego do drugiego obrazu, odmawiać stosowne modlitwy i śpiewać pobożne pieśni.

U nas w Wielkopolsce słynną jest Kalwarya w Ujściu, której rycinę zamieszczamy.



Kalwarya w Ujściu.

Gorzkie żale.

Powiadają ludzie, że Chrystus Pan w czasie męki swojej powraca zawsze na ziemię. Bierze te same szatki — liche, ubogie, w jakich chodził po ziemi i nocą śpieszy szukać cierpiących, wspiera ich i w upadku podtrzymuje. Idzie Pan, słucha, patrzy. Senna cisza unosi się nad światem, wszędzie mrok, cień, chłód.

Na niebie, jakby kto serca pełne miłości, otworzył, zapłonęło słońce. Złotemi oczyma patrzy w każdą skibkę ziemi, w każdą rosy kropelkę, prześwieca głębiny wodne i głębinom leśnym złote strzały posyła. Jest wszędzie, dla wszystkich i wszystkim się oddaje. Zarówno dąb wspaniały ma z jego promieni koronę jak i liche źdźbło trawy, ziarno piasku. Słoneczne blaski sypią się na ziemię jak złote ziarno cudowną dłonią Siewcy-Boga hojnie dla wszystkich rzucane. Ziemia pod tą słodką a gorącą pieszczotą słoneczną wskrzesła cała — upojona, radosna. Śpiewa hymn radosny życiu.

Lud spieszy do kościołów. Śpiewają Gorzkie żale, cisną się do Sakramentu Pokuty, biją w piersi, czołem o posadzkę uderzają. Świecą ołtarze w złote ozdoby przybrane, w sznury korali — jak w krople krwi... ku tym ołtarzom, wznoszą się oczy wszystkich łez pełne, słychać tłumione jęki, łkania...

Do skarbonek sypią się grosze — jak łzy...

„Chryste! — wołają — Chryste! zmiłuj się nad nami!“

Chrystus stoi zadumany, bolesny. „Jam jest miłość“ — szepce — miłość wszystko może... ona oczyszcza, rozgrzesza, zwycięża zło i tylko razem z miłością Królestwo Boże zstąpi na ziemię...

— Oto idę i szukam, którzyby w miłości żyli; świt zastał mię w drodze — byłem w wielkich miastach, w dumnych pałacach i w świątyniach Pańskich.

I szedł Chrystus Pan dalej, przez nikogo niepoznany, ku chatom wieśniaczym nawiedzić ubogie wioski, pola. Wiosenna praca wrzała naokół. Przygotowywano ziemię pod zasiew — pługi zagłębiały się w łono ziemi. Orząc, śpiewano Gorzkie żale. Tu stała chata stara zaklęsła; słomianą strzechę trzymają tylko porosty i mech. W niej jedna izba z komorą, podłoga z gliny — obrazy Świętych całe bogactwo. Dziatek pięcioro, gruntu dwa morgi... Staruszkowie siedzą na przyzbie pod słońce i gwarzą. Żyją w tej chacie z dziada pradziada. Tum się urodził, ojce moje tu pomarły i świątynie Pańską, co ją widać z daleka temi oto grzesznemi dłońmi budowałem. Tam mój krwawy pot, moje łzy i moje grosiki marne ku potrzebom kościoła dawane...

Wszystko to zliczy miłosierny Ojciec...

A że się chłodem i głodem przymiera — co tam!... My tego zwyczajni. Jak dąb w wodzie, tak chłop w biedzie mocnieje i twardości nabiera. Choć wszystko złe przeciw niemu, nie daje się chłop. Chłop — to tak jak dąb — chyba, że go piorun strąci, lecz z korzeniami nie wyrwie nikt! wrósł w ziemię ukochaną całem sercem, dla niej żyje i tej rodzicielki nie odda za nic!

Chrystus wyciągnął dłonie ku chatom wieśniaczym — błogosławiąc trudy, znoje, ból...

— Oto w miłości trwają—rzekł Pan — najwięcej ukrzywdzeni, najmniej winni — praca jedyne szczęście i osłoda życia... Ich nie zwycięży zła moc... Sami wezmą w niestrudzone dłonie pochodnię oświaty — zdobędą wiedzę — podniosą godność człowieczą... Dla nich kończą się Gorzkie żale — wstaje jutrznia Zmartwychwstania!

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 9-go kwietnia 1241 klęska Polaków pod Legnicą. — 1570 sejm w Sandomierzu uchwala wolność wyznań. — 1606 zjazd w Stężycy rokoszan Zebrzydowskiego. — 1793 oświadczenie drugiego rozbioru Polski. — 1831 Dwernicki wkracza na Wołyń.

Dnia 10-go kwietnia 1585 traktat handlowy z Danią. — 1598 przymierze z Austryakami. — 1831 świetne zwycięztwo pod Iganiami. — 1849 legion polski zdobywa Waców.

Dnia 11-go kwietnia 1553 śmierć Piotra Kmity. — 1764 tajemny traktat Moskwy z Prusami. — 1790 list przyjacielski Fryderyka II. do Stanisława Poniatowskiego. —1831 powstanie powiatu zawilejskiego. — 1848 układy jarosławieckie.



Matka Boska Bolesna.

Dnia 12-go kwietnia 1069 urodzenie królewicza Mieczysława, syna Bolesława Śmiałego. — 1467 Malborg kupiony od Krzyżaków.

Dnia 13-go kwietnia 1477 traktat w Ołomuńcu zapewnia Władysławowi tron czeski. — 1603 zdobycie Dorpatu.

Dnia 14-go kwietnia 1703 rada w Malborgu oświadcza się przeciw Szwedom. — 1809 Austryacy wkraczają do Polski. — 1831 bitwa pod Liwem.

Dnia 15-go kwietnia 1518 wjazd Bony do Krakowa. — 1831 powstanie w powiecie włodzimirskim.

Humor i satyra.

Walczyk nie karnawałowy
czyli
Eins — zwei — drei...

Tańcowali agenci,
Przez hakatę najęci,
Mieli chciwość bez miary,
W kiesce bite talary;
Tańcowali nad Wartą
I precz drogą utartą
W tańcu swoim wprost przyszli
Aż nad brzegi het Wisły.
Wzięli w taniec dziedzica,
Poszła w szmaty ziemica,
Chcieli także wziąć Kubę,
Mazurowi na zgubę,
I skakały sobaki:
— Naści chłopie groszaki,
Jeno ziemię daj nam, daj!
Eins-zwei-drei, eins-zwei-drei.

Ale Mazur kij tęgi,
Wziął bez żadnej mitręgi,
Śmignął żywo za płoty,
W garść ci naplul z ochoty
I jak pójdzie na udry,
Jak zastraszy te pludry;
„Chcecie sobie tańcować,
To wam będę basować,
Ziemi nie dam ni krzyny,
Ale zato — wierzbiny.“
Tańcowali agenci,
Przez hakatę najęci,
Aż w kapustę, kartofle
Szły samopas pantofle.
Wyszły baby z zagrody,
Podparły się pod brody,
Dziwują się, dziwują,
Że agenci tańcują:
— Graj-że Kubo, graj-że, graj!
Eins-zwei-drei, eins-zwei-drei...

* * *

Na podwórzu.

— Chodźcie, dziadku, na górę to moja pani da wam chleba i parę groszy.

— Akurat! będę tam na 2-gie piętro łaził po taką marnotę, niech pani sobe poszuka drugiego dziada...

* * *

Szczera odpowiedź.

— Czy to prawda mężusiu, że jestem jedyną twą myślą?

— A jakże i tej myśli nie mogę się już pozbyć!

* * *

Dalekie pokrewieństwo.

— Dziwi mnie bardzo, że pan tak mało dba o swego brata.

— Proszę pana, to jest tak dalekie pokrewieństwo: aż pięć sióstr nas przedziela.

* * *

Oddane.

Obcy. Podobno tu w waszej wsi strasznie głupi ludzie!

Miejscowy. A co najważniejsze, że nikt mądry nie przybywa.

* * *

Z życia.

Panna X. Ach, moja droga, jak ja się martwię.

Panna Y. Czego?

Panna X. Boję się, żeby mnie nie spotkało jakie zmartwienie.

* * *

Odezwę następującą

otrzymaliśmy od płci brzydkiej z powodu, że nasze panie zamyślają zawdziewać spodnie, czyli „jupe-cullote:“

Kochane Panie!

Ze spokojem znosiliśmy dotychczas wasze wszystkie kaprysy, fantazye i zachcianki. Nie oponowaliśmy, że uczęszczacie na uniwersytet, że obejmujecie posady doktorek, profesorek, portyerów, golarzy, kasyerów, ekspre-

Dobra rada.



Talent pański wydaje mi się trochę wątpliwym, załóż pan lepiej szkołę prywatną malarstwa i rysunków.

sów, fiakrów i t. p. Nie broniliśmy wam jeździć automobilami, zlatywać z aeroplanów i karki łamać, stroić się w kapelusze o wielkości koła młyńskiego i nosić szpilki długie jak lance ułańskie. Zostawiliśmy wam do woli zawdziewać jedwabne halki i nosić włosy z warkoczy zmarłych Chińczyków. Wogóle godziliśmy się na wszystko i jedynie jako znak naszej wyższości, zatrzymaliśmy dla siebie odwieczne prawo noszenia spodni. Niestety, obecnie widzimy, że ta nasza pobłażliwość i dobroć u was nie znalazły należytego ocenienia, że w sposób bezwzględny chcecie nas pozbawić naszego najświętszego prawa noszenia spodni! Aczkolwiek nie wiemy dotychczas, czy spodnie, które nosić zamierzacie, z przodu czy z tyłu zapinane będą na kościane guziki, to jednak z całą stanowczością sprzeciwiamy się tej nowej modzie. Tego odwiecznego prawa, które nas wyłącznie upoważnia do noszenia spodni, nigdy się nie pozbawimy. Nie dopuścimy do tego, abyśmy sami, nasze dzieci i wnuki już na pierwszy rzut oka nie mogli rozpoznać, kto jest kobietą, a kto mężczyzną, zwłaszcza, że wiele z was nosi krótkie włosy i ma wąsy pod nosem, nie pozwolimy, by w ten sposób szerzyła się karygodna niemoralność! Jeżeli od swego niecnego zamiaru nie odstąpicie, wybuchnie rewolucya, wobec której powstanie boxerów będzie kotylionem z figurami; cały ród męski rzuci się na was, ściągnie z waszych nóg spodnie i będziecie stać wobec świata i historyi w stroju Ewy, która, gdyby przewidywała wasze niecne zamiary, zjadłaby sama całe jabłko, Adamowi ogryzka by nie dała i dotychczas jako stara panna w rajuby siedziała, cerując Adamowi pończochy.

Zawołajcie więc jednogłośnie: Precz ze spodniami! Vivat jedwabne halki, majtki i spódnice!

(Tu następują tysiączne podpisy).

* * *

Tere-fere-kuku.

Jest przypowieść starodawna
O „babie i łuku,“
Zakończona wykrzyknikiem:
„Tere-fere-kuku!“

Że zaś stare przypowieści
Wciąż żyją w prawnukach,
Pomijając ród niewieści —
Kochamy się co się zmieści
W „tere-fere-kukach!“

Czy na lądzie, czy na wodzie,
Na wsi, czy na bruku,
Tak w pałacu, jak w zagrodzie,
W nieustannej zawsze modzie:
Tere-fere-kuku!

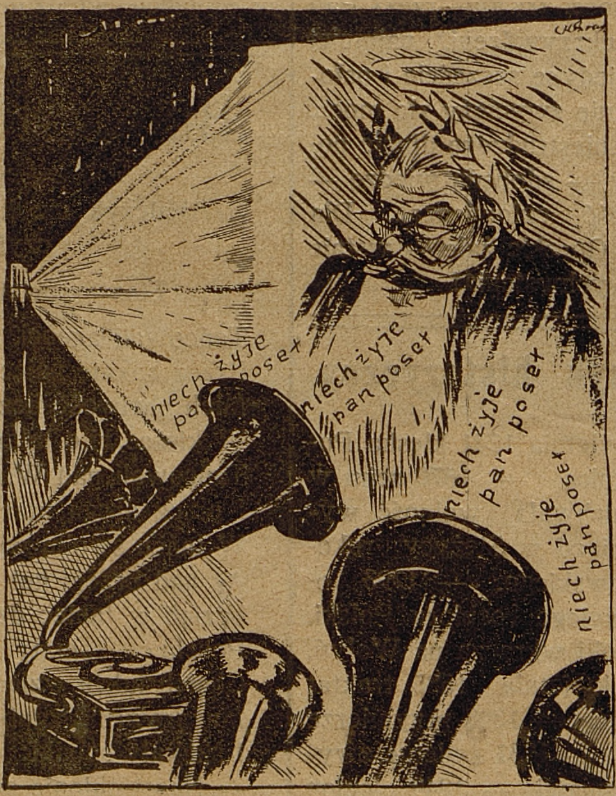
Niech się zdarzy co we świecie —
W słowach pełno huku!
Bicze z piasku ten, ów plecie,
A tymczasem ma w kalecie:
Tere-fere-kuku!

Ten na raucie był z baronem,
Ów siedział przy diuku —
Zaraz mówią innym tonem...
A stosunków całym plonem:
Tere-fere-kuku!

Inny piękne dzieło czytał
Na strzelenie z łuku...
Lecz im bliżej okiem chwytał,
Umysłowy nikł kapitał —
Tere-fere-kuku!

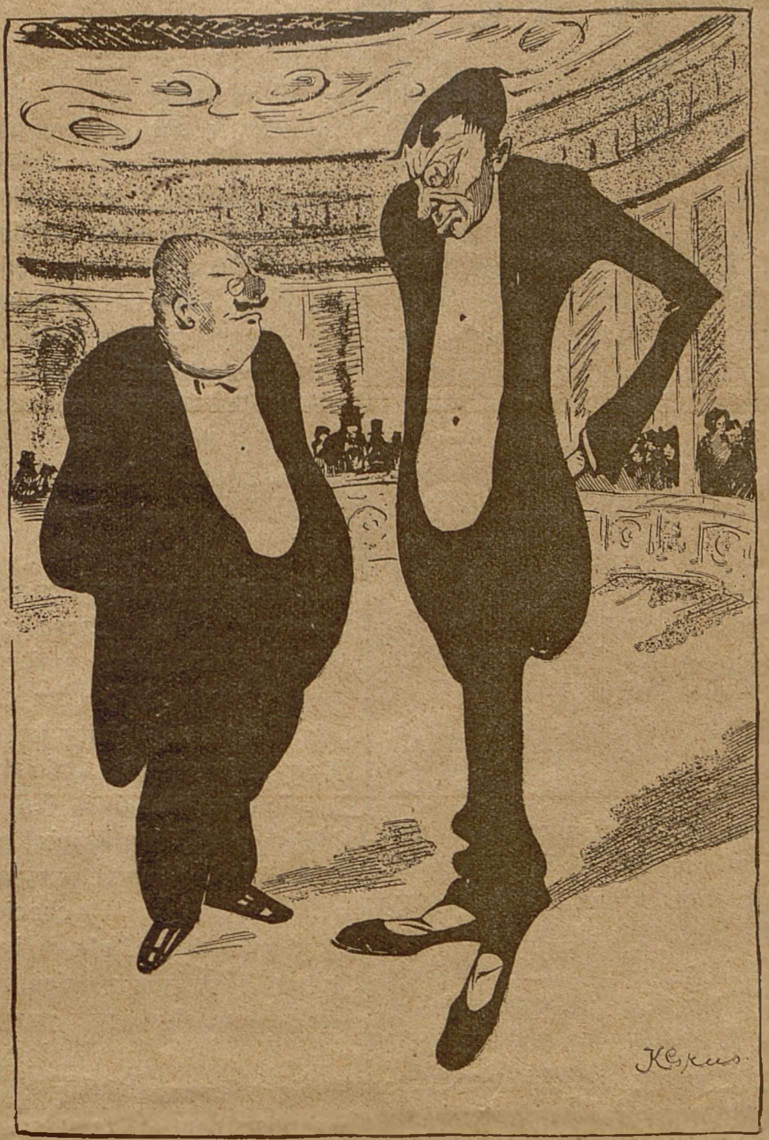
I tak dalej, i tak wszędzie,
Na roli, czy bruku —

Z praktycznej przyszłości.



Wiece wyborcze będą się w przyszłości odbywać inaczej jak dzisiaj: Wyborców zastępować będą fonografy. Kandydata zaś przedstawi na płachcie kinematograf.

Wykręt.



Mam tyle idej, że nie wiem którą by wpierw należało opracować i dla tego też nie pracuję od lat trzech wcale.

Dookoła wciąż się przędzie:
Tere-fere-kuku!

* * *

Usprawiedliwiony.

Ojciec. — Stasiu, miałeś dziś lekcyę geografii, powiedz czegoś się podczas niej nauczył?

Syn. — Niczego, tatusiu, bo pan nauczyciel widocznie sam nic nie umie, gdyż nam zadawał ciągle podczas lekcyi pytania.

* * *

Prawdomówny myśliwy.

Myśliwy. Wiesz co, wczoraj zastrzeliłem aż sześciu kruków.

Złośliwy. Naturalnie białych.

Myśliwy. Nie, jeden z pomiędzy nich był czarny.

* * *

Wesoła teorya dla smutnej praktyki.

Profesor do studentów. Moi panowie, rozpoczynam dziś wykład o chorobach. Kiedy człowiek jest chory, natura i choroba stają z sobą do walki. Wtedy przychodzi doktór z kijem i stara się walczących rozbroić. Jeśli trafi w chorobę, człowiek jest zdrów, jeśli w naturę, chory umiera.

Z galeryi obrazów.

Malarz. Widzi pani ten obraz na ścianie. Jestto dzieło najznakomitszego portrecisty Rembrandta.

Znawczyni sztuki. A po czemu, proszę pana, malarz ten robi portrety?

SZARADA.

Nadesłał czytelnik „Pracy“ p. J. Dembiński ze Szczecina.

Nowa wita Was szarada,
Co z trzech zgłosek znów się składa.
Pierwszą z nich widzieć możecie
Zimą i gdy wiosna w świecie.
Wtenczas często robi szkody,
Zwłaszcza, gdy są wielkie wody.
Pierwszą z trzecią — wymagamy,
Aby miały nasze damy;
Każda z niemi, — a przy groszu,
Pewnie nie siądzie na koszu.
Druga z trzecią — śmieszność budzi,
Gdy w ubiorze starszych ludzi
Je spostrzeżem. Takie stroje
Noszą młodziutkie dziewoje.
Ale też i na wsi dziewki
Noszą takie przyodziewki.
Całość polski lud mianuje,
W Księstwie on nie zamieszkuje.
Jego pradziad był mąż sławny;
Podług wieści bardzo dawnej
Zwalczył wroga — bez oręża;
Boć nie zawsze miecz zwycięża.
Więc zgadujcie, łamcie głowy,
Bo już mamy dar gotowy,
Dla tego, co się nie zmylił
I los szczęścia mu przychylił.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 13-go kwietnia włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadesłały dokładne rozwiązanie zagadki.

Rozwiązanie imieniówki z nr. 13-go:

Jan.
Bruno.
Karol.
Euzebia.
Adelina.
Marcjanna.
Scholastyka.
Aurelja środkowy.

Dobre rozwiązanie nadesłali do dnia wyznaczonego terminu t. j. do dnia 30-go marca pp. Wanda Malinowska z Poznania, Hipolit Wedecki z Ropczyc w Galicyi i Karol Wardęski z Wiednia i otrzymali nagrodę.

NASZ KĄCIK.

Ptaszęca prośba.

Z dalekich stron, z pod innych gwiazd
Wracamy znów do naszych gniazd,
Ukrytych tu, pod strzechą chat.
Zbiegliśmy och, szeroki świat,
Zmierzyliśmy niebiosów szlak,
Tęsknota nas gnębiła tak.....
Mróz gnał nas stąd i wichrów zgrzyt,
Więc zmilkł nasz śpiew, gardziołka cyt.
Frunęliśmy, gdzie słońca żar,
Gdzie może wciąż rozbrzmiewać gwar,
Gdzie mróz nie tłumi w piersi tchu.
Lecz teraz znów wracamy tu,
Słodzić wam trud, łagodzić ból
I nucić pieśń wśród gajów, pól
I nucić pieśń, co echem ech
Będzie się nieść od strzech do strzech,
Napełnim nią konary drzew
I wszędzie się rozniesie śpiew...
Wracamy więc do swoich stron,
Bo wszak nam tu nie grozi zgon,
Nie czyha tu ukryty wróg:
„Gdzie wchodzi gość, tam wchodzi Bóg!"
Dziatwo, u serc twych ojców, mam,
Gdy słodko śnisz, gniazd nie niszcz nam,
Bo splata je nasz trud i znój,
A spocznie w nich ptaszęcy rój!
O, nie niszcz gniazd, gdzie ptaszki śnią,
Wszak to nasz skarb, to dzieci są...
Swawolę złą, o dziatwo rzuć,
Wraz z nami pieśń w zawody nuć,
Niech polską pieśń, rodzinny śpiew,
Roznosi hen wiosenny wiew!
O, dziatwo nuć, prześpiewaj nas,
Niech pieśnią twą rozbrzmiewa las,
Wasz dźwięczny głos niech płynie wkrąg
Z nad dolin, pól, do gajów, łąk,
U niebios bram niech znajdzie wtór,
Aniołków śpiew niech zwiększy chór,
Niech brzmi wasz głos u niebios bram,
Lecz gniazdek och, nie niszczcie nam,
Wracamy tu, by tu je wić,
Nie niszcie ich, my chcemy żyć!

P. W.

* * *

Mała święconka.

Jak pszczółki z ula wysypały się dziewczynki ze szkoły. Ileż gwaru i szczebiotu! Nie wszystkie jednak są wesołe. Niektóre idą ze spuszczonemi główkami i łzy spływają im po buzi. Tu znów jakby na skrzydłach wiosennego wietrzyku biegną cztery dziewczynki, rumiane, zadowolone i uśmiechnięte. Wandzia, córka zamożnych rodziców mieszka daleko, na przedmieściu, w ładnym domku z ogrodem, rozstaje się więc z towarzyszkami serdecznem — do widzenia. Biegnie coraz, coraz szybciej wreszcie pchnęła furtkę, przebiegła ogródek i wpadła do domu: Mamusiu, tatusiu, zawołała rzucając się rodzicom na szyję, mam dobre świadectwo, mam promocyę! — Na dowód tego, jak byłem pewny, że nam zawodu nie zrobisz, patrz Wandziu, rzekł ojciec, oto jest dla ciebie nagroda i podał córeczce książkę — dzieje narodu polskiego z obrazkami. Wandzia krzyknęła radośnie, wyciągnęła rączkę po swój skarb i uściskała tatusia, ale potem stanęła zamyślona i stroskana. Co ci to Wandziu? Zapytała mama, a ona cichutko, nieśmiało zaczęła mówić: Bardzo, bardzo cieszę się z książki, ale gdy już tak zostałam nagrodzoną, nie śmiem wyjawić o co chciałam prosić rodziców. Mów śmiało dziecko, rzekł tatuś. Więc Wandzia tuląc się do mamy szeptała: Tak bym chciała mamusiu mieć urządzoną dla siebie osobną, maleńką święconkę i tak bym chciała zaprosić na nią moje trzy przyjaciółki, one tak smutno zawsze święta spędzają. — Ależ i owszem dziecko, pozwalamy, zawołali rodzice, a starszy braciszek Stefcio odezwał się: I ja także pragnę ci zrobić choć małą przyjemność i przyczynić się do upiększenia twej święconki, zrobię ci więc ładne pisanki i pomaluję jajka. Wandzia klaszcząc z uciechy w rączki braciszka serdecznie uściskała, dziękuję, dziękuję! Ale mama dodała jeszcze: Żebyś jednak wiedziała, że pieczone gołąbki nie idą same do gąbki, będziesz mi Wandziu pomagać w przygotowaniach świątecznych! Wandzia tem powiedzeniem mamusi uczuła się podniesioną do godności dorosłej osoby i zdawało jej się, że chyba odrazu z pół głowy urosła, ubrała się więc w wielki fartuch mamy, ale jej sięgał aż do kostek. Zawinąwszy rękawki dzielnie zabrała się do roboty, pomagała służącej sprzątać pokoje, potem poszła z mamusią po sprawunki, to znowu wybiegała do ogródka, pełła i podlewała pierwsze wiosenne kwiatki, jednem słowem wszędzie jej było pełno. Najmilsze zajęcie zaczęło się jednak dopiero wtedy, gdy mama zabrała się do pieczenia ciasta. Wandzi polecono obranie migdałów i rodzenków i ubijanie jajek z cukrem. Właśnie wszedł Stefcio do kuchni, by zabrać do malowania ugotowane już jajka. Wszedł, spojrzał na Wandzię i wybuchnął śmiechem: Mamo, Wandzi żółte wąsy wyrosły nagle pod nosem. — Spojrzała mama na Wandzię, ha, prawda, a ona zawstydzona zaczęła się tłómaczyć: To tak ubijając jajka z cukrem przypadkiem trochę spróbowałam. Proszę mamy, jeśli połowa rodzynków i migdałów również przypadkiem dostanie się do buzi Wandzi zamiast do ciasta, to placki wcale nie będą smaczne. Wandzia chciała coś bratu odpowiedzieć, lecz przypomniała sobie jego obietnicę zrobienia pisanek, więc zamilkła i tylko łezka zabłysła na rzęsie. Wandziu, bój się Boga, ciasto będzie słone, zawołał Stefek i wybiegł z kuchni. (D. c. n.)

* * *

II. Zagadka historyczna do nagrody.

Dawno to temu i czasu zawieja
Mgłą zapomnienia, zmierzchem czas ten prószy,
Gdy do ubogiej chaty kołodzieja,
O czystej, zacnej i gościnnej duszy
Przybyli goście, dwie jasne postacie.
Próżno stukali do książąt z zamczyska,
Lecz chłop gościnnie przyjął ich w swej chacie,
Choć ona biedna, uboga i niska.
Był to postrzyżyn dzień małego syna.
Lat siedem skończył, strzygli mu więc włosy
I imię dali, lecz biedny chłopczyna
Był niewidomym, smutneż jego losy...
Ale, o cudo! Wraz z przybyciem gości,
Przejrzało chłopię, wzrok mu jasno płonie...
Któż są ci goście, tak pełni miłości,
Kim owo chłopię, w jakiej żyło stronie?

III. Zagadka historyczna do nagrody.

Które z was miłe Dziatki mi powie,
W którym to roku prapradziadowie
Zrzuciwszy w gruzy bożki swe stare
Wraz z chrztem przyjęli prawdziwą wiarę?
Do góry głowy, hejże dziewczęta,
Czy też z was która wie i pamięta
Imię tej księżny, która dzielnicę
Swą opuściła, by tajemnicę
Świętej swej wiary wszczepić nam w duszę?
Teraz was chłopcy zapytać muszę,
Jak książę, mąż jej był nazywany?
Myśl i odpowiedz chłopcze kochany!

* * *

Drogim dzieciom raz jeszcze przypominam, że kto odgadnie wszystkie 6 zagadek historycznych i kto bez błędu odpowie na zawarte w nich pytania, ten dostanie książeczkę. Nagród będzie jak zwykle cztery, dla najlepiej napisanych wypracowań. Możecie je nadsyłać co tydzień po dwa, lub dla uniknięcia kosztu wszystkie sześć razem, ale najdalej w tydzień po wydrukowaniu ostatnich dwóch zagadek.

Tajemnica morza.

4)

(Ciąg dalszy).

Ned i Konsel, nie wdając się w żadne uwagi lub rozbiory, zabrali się do jedzenia, a ja wkrótce poszedłem za ich przykładem. Zresztą byłem spokojny o nasz los, i wiedziałem tyle przynajmniej, że nasi gospodarze nie mieli zamiaru zamorzyć nas głodem.

Wszystko jednakże ma swój koniec na tym padole; wszystko mija, nawet głód ludzi, którzy nie jedli od piętnastu godzin. Zaspokoiwszy apetyt, uczuliśmy gwałtowną potrzebę snu. Było to bardzo naturalne po nieskończenie długiej nocy, podczas której walczyliśmy ze śmiercią.

Dwaj moi towarzysze wyciągnęli się na dywanie i wkrótce w najgłębszy sen zapadli. Po nich i ja zasnąłem.

Gniewy Ned-Landa.

Nie wiem jak długo trwał ten sen, ale musiał być długi, bo przebudziwszy się, czułem, żem zupełnie wypoczął. Towarzysze moi spoczywali jeszcze głęboko uśpieni, każdy w swoim kącie. Zaledwiem powstał z posłania dość twardego, rozpocząłem przegląd naszej celki.

Nic się nie zmieniło w jej urządzeniu wewnętrznem. Więzienie pozostało więzieniem, a więźniowie więźniami. Służący tylko podczas naszego snu zdjął ze stołu nakrycie. Oddychałem z trudnością, i ciężkie powietrze nie wystarczało dla płuc moich. Jakkolwiek cela była dość przestronna, widocznie jednak zużyliśmy w większej części powietrze w niej zawarte. Już coraz częściej i trudniej oddychałem dla wciągnięcia w siebie niewielkiej ilości tlenu, jaki się jeszcze w powietrzu celi naszej znajdował — gdy nagle orzeźwił mnie prąd powietrza czystego i przesiąkłego słonemi wyziewami. Był to powiew morski. Otworzyłem szeroko usta, wciągając do płuc świeże powietrze. W tejże samej chwili uczułem kołysanie, nie gwałtowne, ale bardzo wyraźne. Statek, potwór żelazny, wypływał widocznie na powierzchnię oceanu, aby tam odetchnąć, jak wieloryb. Poznałem więc sposób odświeżania powietrza na okręcie. Po nad drzwiami była dziura do przewiewu, przepuszczająca kolumny czystego powietrza i odświeżająca tym sposobem celkę.

Gdym się temi spostrzeżeniami zajmował, Konsel i Ned zbudzili się razem prawie, pod wpływem wietrzyka orzeźwiającego. Przetarli oczy, przeciągnęli ramiona i zerwali się na równe nogi.

Opowiedziałem Kanadyjczykowi, co zaszło podczas snu jego.

— Ale nie mogę zmiarkować, która godzina, lecz zdaje mi się, że to już pora obiadu!

— Obiadu? powiedz raczej śniadania, mój zacny przyjacielu, bo, o ile miarkuję, wczoraj już minęło.

— Coby nas przekonywało — wtrącił Konsel — że spaliśmy dwadzieścia cztery godzin.

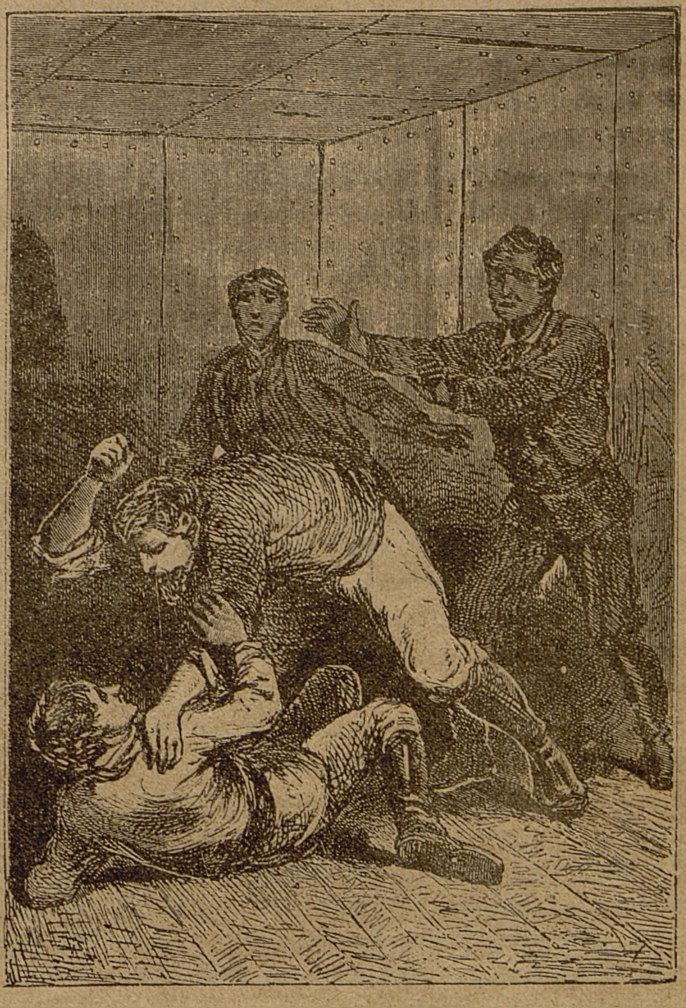
— I mnie się tak zdaje — odpowiedziałem.

— O to się spierać nie myślę — odrzekł Ned-Land. — Lecz obiad czy śniadanie... mógłby już coś przynieść sługa okrętowy.

— Czekajmy — odpowiedziałem. — Widocznie nie mają zamiaru nas umorzyć, bo po coby nam dawali wczoraj obiad?

— W każdym razie! — wrzasnął oszczepnik — jeść mi się chce do stu dyabłów, a nie przynoszą nic. Gdyby ci rozbójnicy wyobrażali sobie, że zatrzymają mnie w tej klatce, to gruboby się pomylili. Co myślisz, panie Aronnax, czy długo zamierzają nas trzymać w tem żelaznem pudle?

— Przypuszczam, że przypadek uczynił nas panami ważnej tajemnicy. Otóż jeżeli załoga tego podmorskiego



...Kanadyjczyk rzucił się na niego...

statku ma interes w zachowaniu jej, to życie nasze jest mocno narażone. W przeciwnym wypadku, potwór wypuści nas na świat przy pierwszej lepszej sposobności.

— Czy tylko nie zechce zaliczyć nas do swej załogi i zatrzymać nas tym sposobem...

— Aż do chwili — wtrącił Ned-Land — w której jakaś fregata szybsza lub zręczniejsza, niż „Abraham Linkoln“, opanuje to gniazdo łotrów.

— Wszystko to dobrze panie Ned-Land — dorzuciłem

— lecz dotychczas nic jeszcze nam nie grozi. Pocóż mówić o rzeczach przypuszczalnych? Powtarzam, że wypada czekać, więc czekajmy.

Oszczepnik widocznie zakłopotany milczał. Ucieczka w warunkach, w jakich nas wypadki postawiły, była całkiem niepodobną.

Widziałem, że Ned-Landa myśl pracuje. Zaczynał powoli kląć, a ruchy jego coraz groźniejsze były. Wstawał, chodził jak zwierz dziki w klatce, bił o ścianę pięściami i nogami, a czas płynął swoją drogą, głód coraz silniej uczuwać się dawał, sługa zaś okrętowy nie przybywał. Jeśli nie miano nic złego nam zrobić, to postępowanie takie z nami było bardzo niewłaściwe.

Taki stan trwał jeszcze przez dwie godziny; gniew Ned-Landa wzrósł do strasznych rozmiarów. Wołał, krzyczał, ale napróżno. Ściany żelazne były głuche. Nie słyszałem nawet najmniejszego szmeru z zewnątrz, jakby na statku wszyscy wymarli. Nie umiałem sobie zdać sprawy z czasu, przez jaki już byliśmy zamknięci. Traciłem nadzieję, jaką powziąłem po pierwszem ujrzeniu naszego dowódcy. Chciałże nas zamorzyć głodem w tem ciasnem więzieniu?

Ta straszna myśl ogarnęła mnie całego, a rozdrażniony jeszcze głodem, zapadłem w straszne przerażenie. Konsel stał spokojny, Ned-Land ryczał z wściekłości.

W tej chwili usłyszeliśmy szmer z zewnątrz. Kroki rozległy się po metalowej podłodze. Odsunięto wrzeciądze, drzwi otworzono i ukazał się sługa okrętowy. Zanim zdążyłem przeszkodzić, Kanadyjczyk rzucił się już na niego, powalił go na ziemię i ścisnął go za gardło. Sługa dusił się pod tym uściskiem.

Konsel poskoczył na pomoc biedakowi na pół już uduszonemu — a i ja zabierałem się poprzeć mego służącego, gdy nagle, jak przybity do ziemi, wstrzymałem się, słysząc wyrazy po francusku:

— Uspokój się, mości Land, a pan, panie profesorze, chciej mnie posłuchać.

Mówił to dowódca statku!

Pan Wód.

Na te wyrazy Ned-Land podniósł się nagle. Służący okrętowy o mało co nie zduszony, wyszedł chwiejąc się, na znak swego pana. Konsel zaciekawiony, oniemiały, i ja czekaliśmy w milczeniu na rozwiązanie tej sceny. Dowódca, oparty o róg stołu, z rękami na piersi skrzyżowanemi, przypatrywał się nam z głęboką uwagą. Po kilku chwilach milczenia, którego nikt z nas przerywać nie miał zamiaru, rzekł głosem spokojnym i przejmującym:

— Panowie, umiem zarówno dobrze po francusku, po angielsku i po niemiecku. Mogłem więc odpowiedzieć wam przy pierwszem zaraz widzeniu się z wami, lecz chciałem was naprzód poznać, a potem zastanowić się. Wasze trzykrotne, zupełnie zgodne opowiadanie wczorajsze, upewniło mnie. Wiem teraz, że przypadek postawił wobec mnie pana Piotra Aronnaxa, profesora historyi naturalnej w muzeum paryskiem, mającego misyę naukową zagraniczną; Konsela, jego służącego i Ned-Landa, Kanadyjczyka z pochodzenia, oszczepnika na pokładzie fregaty „Abraham Linkoln“ z marynarki narodowej Zjednoczonych Stanów Ameryki.

Ukłoniłem się przytakująco. Komendant pytań mi nie robił, więc odpowiadać nie było na co. On zaś mówił dalej:

— Zapewne zdawało się panu, żem się zbyt ociągał z odwiedzeniem was. Uczyniłem to dlatego, że chciałem dobrze rozważyć, co mam z wami zrobić. Długo się wahałem. Najprzykrzejsze okoliczności postawiły was wobec człowieka, który zerwał z ludzkością. Przyszliście zakłócić moje istnienie...

— Mimowolnie — rzekłem.

— Mimowolnie? — odrzekł nieznajomy silniejszym nieco głosem. — A więc „Abraham Linkoln“ ścigał mnie mimowolnie po wszystkich morzach? czyż mimowolnie wsiedliście na pokład tej fregaty? A kule wasze, czy także mimowolnie odskakiwały od mego okrętu, a jegomość pan Ned-Land mimowolnie uderzył w niego swoim oszczepem?

W tych wyrazach widoczny był dla mnie powściągliwy gniew. Lecz na wszystkie te zarzuty miałem bardzo naturalną odpowiedź, i dałem ją.

— Panie — rzekłem — nie są ci zapewne obce wszystkie dyskusye, jakie wywołałeś w Europie i Ameryce. Pan nie wiesz o tem, że różne wypadki, wywołane uderzeniem o pański statek podmorski, wstrząsnęły opinię publiczną na obu półkulach. Wiedz pan o tem, że ścigając cię po morzach Oceanu Spokojnego, „Abraham Linkoln“ był przekonany, że poluje na potężnego jakiegoś potwora, od którego za jakąbądź cenę wypadało ocean uwolnić.

— Panie Aronnax, śmiałbyś twierdzić, że wasza fregata nie ścigałaby tak dobrze statku podmorskiego, jak potwora i nie strzelała do niego? Pojmujesz więc pan — ciągnął dalej nieznajomy, — że mam prawo traktować was jako mych nieprzyjaciół. Długo się wahałem. Nic mnie do gościnności dla was nie zobowiązywało. Jeśli miałem rozstać się z wami, to nie miałem po co widzieć was powtórnie. Dosyć byłoby wywieść was na platformę tego statku, który wam służył za schronienie, a potem zanurzyć się w głębokościach morza. Nie miałżebym prawa tak uczynić?

— Dziki mógłby nadać sobie to prawo — odpowiedziałem — ale nie człowiek ucywilizowany.

— Panie profesorze — żywo odpowiedział dowódca — ja nie jestem tym, co pan nazywasz człowiekiem ucywilizowanym! — Zerwałem ze społeczeństwem, nie podlegam społecznym przepisom, proszę pana nigdy się na nie w mojej obecności nie powoływać!

Było to wypowiedziane bardzo dobitnie. Gniew i pogarda paliły się w oczach nieznajomego. Nietylko usunął się z pod praw ludzkich, ale jeszcze uczynił się niezależnym, wolnym w najściślejszem znaczeniu tego wyrazu, niedosięgniętym. Kto śmiałby ścigać go w głębie morskie, skoro na ich powierzchni żartował sobie z usiłowań przeciw niemu wywieranych? Jaki okręt oparłby się uderzeniu tego potwora podmorskiego? Jakiej grubości pancernik wytrzymałby uderzenie ostrogi jego statku? Bóg tylko, sumienie tylko, jeśli je miał, jedynymi sędziami jego być mogli.

Po dość długiem milczeniu, dowódca znowu mówić zaczął:

— Wahałem się więc — ale pomyślałem, że interes mój da się pogodzić z tą litością przyrodzoną, zostaniecie na moim statku, ponieważ los na niego was rzucił; będziecie na nim swobodni, a za tę swobodę jeden wam tylko postawię warunek, który mi słowem waszem poręczycie.

— Mów pan — odpowiedziałem — sądzę, że warunek będzie taki, jaki każdy uczciwy człowiek przyjąć może.

— Tak jest panie. Być może, że wypadki nieprzewidziane zmuszą mnie zatrzymać panów w ich kajucie przez kilka godzin, a może nawet i przez kilka dni. Nie chcąc nigdy użyć gwałtu, wymagam od panów biernego posłuszeństwa. Czy przyjmujecie ten warunek?

— I będziemy zupełnie swobodni na twym statku?

— Najzupełniej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KAMIENNA WOLA.

POWIEŚĆ.

29)

(Ciąg dalszy).

Ale w przyszłą zaraz niedzielę przysunął się do Felisi, gdy wychodziła z matką z kościoła i zatrzymał ją. — Panno Felikso — rzekł — ludzie w Kamieniu zaczynają panią uwielbiać i wiem jaką poczciwą pracę pani podjęłaś. Bóg zapłać pani za nią....

— O!... rzekła Felisia z żywością szczerości dziecinnej — Bóg już zapłacił....

Zaczerwieniona jak wisienka podniosła na Jana oczy, które w pierwszym momencie spuściła i uśmiechnęła się do niego. Ale potem dodała z powagą. — Jam taka szczęśliwa, żem sobie znalazła coś dobrego do czynienia.

I to mówiła w całej szczerości niekłamiącego serca. Praca jej wzięta sama w sobie dawała jej szczęście: zapełniała dobrze jej życie młode, jednocząc jego stronę czynną, ze stroną ducha marzącego idealnie. To też zdrowy sens p Jacka dobrze mu radził, gdy nie dał przeszkadzać córce w jej postanowieniu pracowitem. Kto żyje, niech pracuje! Tylko praca życia czynna daje mu równowagę potrzebną. Poezya z książki brana gra nam jedynie po strunach serca i stawia przed myślą ideały górne, które rozsmucają, gdy wcielić ich nie można w czyn poezyi żywej. To też Felisia mówiła prawdę, gdy powiedziała Janowi, że jest szczęśliwą, mogąc czynić coś dobrego.

— Wiem to — odparł Jan patrząc w błękitne oczy dziewczyny — wiem, że dobro wykonywane daje pani szczęście, bo tak jest dla wszystkich istot szlachetnych. Ale ja, panno Felikso, miałem niemniej racyą rzec pani: Bóg zapłać.... bom się chciał wywdzięczyć za to, com dostał osobiście. Dobro spotykane w świecie budzi w nas uczucie niewysłowienie miłe... Dobro jest pięknem ducha i tak go też raduje, jak naprzykład piękny widok raduje oczy. Więc Bóg zapłać pani....

Patrzył na nią łagodnie poważnym wzrokiem i mówił łagodnie poważnym głosem, w którym było coś bratersko-życzliwego. A teraz mógł rozmawiać z Felisią spokojnie, bo nikt nie śmiał żartować z jego postępków, ani przypuszczać skrytych planów jakichś. Powoli wyrosł nad to, wydostał się dla gawiedzi ludzkiej po nad tę gawiedź samą.

Przyszedł maj, zakwitnęły drzewa w sadach, zakwitnęły stare grusze po miedzach i dzikie jabłonki po lasach. Zakukała kukułka zalotnica, zaśpiewały słowiki poeci, aż wonny śnieg osypał czeremchy koło chat wiejskich, w dworskich ogrodach bez się rozwinął i panienki miały w czem szukać szczęścia, a raczej wróżby o szczęściu. Koniczyna ma trzy listki i trzeba jej liczby parzystej, aby się stała przepowiednią dobrą; kwiateczek na kiściu bzowym cztery płateczki dostał z rąk natury, a ci, którzy szukają sobie szczęścia dniem majowym, powiadają znowu, że bez tylko pięciolistny szczęście znaczy....

— Dziwni, dziwni ci ludzie — szeptała sobie Felisia zamyślając się nad niekonsekwencyą ową. — Czyżby szczęście ludzkie mieściło się tylko w ideale dalekim ... Czyżby dusza ludzka potrzebowała wiecznie marzyć, tęsknić, szukać... przy trzech listkach pragnąć czwartego, przy czterech piątego wyglądać?....

— Dziwni ludzie... mówiła i nie śmiała dołożyć, że i ona jest dziwną bardzo. Otrzymała już tyle z tego, co było jej życzeniem, a oto zmrokiem dnia majowego napadają ją często takie... takie tęsknoty dziwaczne, jak gdyby była królewną z bajki i chciało jej się mleka ptasiego. Doprawdy, że chyba mleka ptasiego braknąć by jej mogło, kiedy tak cudownie jest na świecie, tak pięknie w Kamieniu, tak cicho być powinno w sercach ludzkich, w jej sercu przynajmniej. Usłyszała takie słowa słodkie!... co tydzień następuje święto takie!... widzi Jana, patrzy na niego, wie że zdrów, a w dodatku dostaje jeszcze jego pozdrowienie życzliwe. — Dzień dobry pani, panno Felikso!.... mówi głos poważnie łagodny. O! dzień jest dobry! dobry!... dobry!.... Można cały tydzień czekać na niego i być cały tydzień oczekiwaniem tem szczęśliwą, to też nie wiedzieć zkąd i dla czego napada ją czasem tęskność dziwaczna: ma ogród i chciałaby iść w pole, wyjdzie w pole, a las ją ciągnie, w lesie chciałaby iść wciąż dalej, dalej, bo tamta polanka za drzewami może wdzięczniej zarysowana, a za nią tamta brzoza smętniejsza, tamten dzwonek błękitniejszy, bielszy motylek co ulata nad tamtą smółką purpurową....

— Dziwną jest natura ludzka... mówi też sobie teraz, rwąc bez biały koło krzaku różanego, który się zawsze krzakiem panny Jadwigi nazywa, ale że nie chce być dziwaczką, marzycielką, zaklętą królewną z bajki mówi sobie morał poważny z powodu bzu czterolistnego, że to on właśnie powinien szczęście przedstawiać, on będący kształtem regularnym, prawidłowym kształtem, który możnaby powiedzieć wyobraża spokój, równowagę, ład...

— Ach! wykrzyknęła nagle i przerwał się monolog. Znalazła bez pięciolistny i uderzył na nią płomień rumieńca, serce tak w piersi zabiło, że tatunio, który patrzył na nią z okna coś pomiarkował i rozśmiał się cichaczem. — Moja panna córka szukała sobie w bzie szczęścia i znalazła je widać — odezwał się wesoło, a Felisia spłoniona przyszła i pocałowała rękę ojcowską. — Ja już tatuniu znalazłam szczęście oddawna — rzekła tkliwie. — Tatunio taki dobry, mamunia taka kochana, i mam wszystko, cobym życzyć sobie mogła.

— Jeszczeby się zdała jaka krzyna więcej — odparł p. Jacek z dobrym humorem w głosie, nie domyślając się wcale, że owa „krzyna" była już na dnie w serduszku, tylko leżała tam schowana, cichutka, nie wydająca się przed nikiem.

Przecież tęskności napadały Felisię tylko czasem, tylko już mrokiem, tylko o zachodzie słońca, ale rano zrywała się prędko do pracy i tęsknota nie miała czasu przyjść na nią. Więc zwykle była przez cały dzień praktyczną, pracowitą osóbką, a raczej osobą, bo wyrosła już teraz jak to-

polka nad strugą i nie było na całą okolicę takiej słusznej panny. A można było powiedzieć, że wyładniała niezmiernie od czasu pracowitego zajęcia i było tak rzeczywiście, choć to zakrawać może na moralny sens z bajki idealnej. Było tak, bo ruch życia czynny, dał jej młodocianej istocie rozwój sił harmonijny, który musi koniecznie podnosić piękność. Felisia też piękniała, szlachetniała niewymownie, i wdzięk naiwny, w pół dziecinny, ustępował miejsca innemu wdziękowi istoty więcej skończonej. Musiało to nastąpić, gdyż z poezyi marzonej, książkowej, przeszła w sferę poezyi żywej i zaczęła też owiewać ją poetyczność natury głębszej, istotniejszej, przelanej z głowy w serce, z myśli w uczucie. Dawniej była więcej lękliwą, teraz stawała się więcej słodką, dawniej oko padające na nią widziało więcej obietnicę, przeczuwało zapowiadające się uroki, które teraz ziszczać się zaczynały — charakter zarysował się wyraźniej, była już nie tyle pączkiem ile kwieciem, rozwijającem się w kobiecość wielce nadobną. Nie mogło to ujść oka ludzkiego i nawet p. Piotr zwrócił na to uwagę. — Temu Oktabowiczowi Bóg poszczęścił na wszystkiem — rzekł raz do syna, wracając z kościoła do domu w markotnym trochę humorze, bo wiosna rozrzucająca do koła piękności swoje, tknęła go znowu w serce dawną miłością do Kamienia. — Wszystko temu człowiekowi można powiedzieć: idzie... Jakie, naprzykład, ma dzieci ładne.... Ta Felisia, kochasiu, wygląda teraz tak szykownie, jak panna z Bóg wie jak pańskiego domu....

Była istotnie bardzo szykowna i zaczęła się stawać w obejściu nawet coraz więcej „pańską." Jan to zauważył sam, gdy raz w połowie czerwca zdarzyło mu się być we dworze w Kamieniu. Poproszono go w kumy wespół z Felisią. Kroczewskiemu, który był zawsze nadwornym rymarzem kamieńskim, dał Bóg pociechę siódmą z rzędu i na radzie familijno-przyjacielskiej, do której wchodziła też Dąbrosia, uradzono prosić Jana, aby z Felisią trzymał do chrztu pociechę numer siódmy. Kumoska ta dostojność była już dawno przeznaczona Janowi, który już miał z pół tuzina chrześniaków na wsi, ale Feilsię spotykał ten honor pierwszy raz w życiu i Dąbrosia trochę się przyłożyła do tego, że ją spotkał. Zaczynano ją kochać we wsi i napomknięcie Dąbrosi zostało chętnie przyjęte. — A dobrze — odpowiedziano — niech młody pan trzyma z Oktabowiczówną... bo mimo całej miłości i zasług wszystkich, Felisia była dla Kamienia Oktabowiczówną przedewszystkiem. Lud nasz jest konserwatystą i dla niego Jadwiga była wciąż jedyną panienką kamieńską.

Ale swoją drogą Dąbrosia dopięła celu, który przy wystąpieniu swojem miała przed oczyma. — Zajrzy przecie do nas żywy duch jakiś — rzekła sobie zadowolniona, bo już zaczęła jej nie wystarczać przyjemność opowiadania pani Jackowej o fetach i przyjęciach, jakie tu bywały onego czasu. Postanowiła tedy, żeby z okazyi chrzcin było w kamieńskim dworze przyjęcie uroczyste. Akt został ułożony na poobiedzie niedzielne, w sobotę zatem upieczono na folwarku kamieńskim baby petynetowe do kawy i tort migdałowy do wina, Dąbrosia zadysponowała pani Jackowej kolacyę i to jedynie było nieszczęściem, że nie miano kogo prosić na to wszystko. Dąbrosia ani chciała słyszeć o kimś z miasteczka i ruszyła ramionami na pierwszą w tym przedmiocie wzmiankę pani Jackowej. — A co tam państwu teraz po gościach takich — rzekła. Pana Kamieńskiego nie można z byle kim posadzić... Pan Jan księdza proboszcza bardzo szanuje, po ceremonii mogą też panowie siąść trochę do kart, na kolacyę się podadzą takie kurczęta z agrestem, takiego jendora, takie blamanże, po których wszyscy palce obliżą. Zjedzą, wypiją, zabawiwszy się, gospodarstwu pięknie się ukłonią i ludzie przecież wspomną, że byli u nas goście.

Stało się wszystko podług programu; w dodatku Dąbrosia ślicznie wystroiła Felisię, która była nad program ładną i miłą. Jan najpierw przyjechał do dworu i wszyscy razem poszli pieszo do kościoła, ochrzczono tłustego, dużego chłopaka, któremu Felisia jak się godzi uszyła własnoręcznie koszulkę chrzestną, a który od Kościoła Bożego dostał imiona Jana-Feliksa, potem razem już z księdzem proboszczem wrócono znowu do dworu, wystąpił tort z babą, pograno istotnie w karty, co zrobiło wielką przyjemność Oktabowiczowi, z tajemną dumą i pewną wspaniałą uroczystością siadającemu do zielonego stolika z p. Kamieńskim; przecież w antrakcie, zanim podano kolacyę, Jan miał sposobność porozmawiania nieco z Felisią. Mówiono trochę o jej biblioteczce, więc o książkach, mówiono trochę o niczem, to jest o wszystkiem, i Jan uczuł się zadziwionym dostrzegłszy jak ta duszyczka młoda rozwinęła się w przeciągu roku jednego. Doznawał pewnej ciekawości rozwój ten badając, doznawał pewnej ciekawości z przyjemnością złączonej, widząc jak składnie przesuwa się po pokojach starego dworu i gościnność w niem świadczyć umie z godnością prostoty wdzięcznej.

— Czy jej też życie da szczęście? rzekł sobie z westchnieniem mimowolnem — czy jej da spotkać człowieka, który ją oceni i zrozumie?...

— Daj to Boże...., dodał i patrząc w jej oczy błękitne, gdy je podniosła właśnie, odpowiadając coś ojcu, rzekł sobie smętnie. — O!... ta umiałaby kochać dobrze!....

— Umiałaby kochać tkliwie, głęboko — dodał wpatrując się ukradkiem w dziewiczą postać modrookiej.

— Daj jej Boże szczęście — powtórzył znów po chwilce pewnej i opanowała go niezmierna smętność serdeczna. Mógłby pójść gdzieś w głąb starego kamieńskiego ogrodu i zapłakać gorzko nad opustoszałem swem sercem, w którem nie było nic, nic szczęścia!...

Zbiegiem okoliczności Felisia dostała wkrótce drugie szczęścia życzenie. Gdy się pożegnano, Jan odwiózł po drodze księdza proboszcza na plebanią, a ten jadąc, rozmawiał z nim o posesorach Kamienia.

— Nieźli ludzie — rzekł — ale dziewczyna to już złoto. Ze świecą szukać w szlacheckiem dworze takiej panny, z dziadów pradziadów uczonej obowiązku, jakiem jest to miejskie, z nizkiej niby kondycyi dziewczę. Jest w tej duszy złoto czyste i daj Boże, aby się w zacne ręce poczciwego człowieka dostała!

I życzliwość księdza proboszcza zaznaczyła się wielce w życiu Felisi Oktabowiczównej, otworzyła jej furtkę marzonego dla niej przez pana Jacka raju — wprowadziła w towarzyskie koło okolicy. Raz na tańcującym podwieczorku u pani Sewerynowej jakoś w końcu lipca, gdy młodzież w przerwie tańca odpoczywała, wychodząc na ganek ogrodowy, gdzie siedzieli starsi, ksiądz proboszcz, przyglądając się wesołości młodego grona, rzekł na raz: — Pięknie się bawią młodzi państwo i szkoda wielka, że tu niema panienki jednej, która przyznać trzeba najwęcej na zabawę zasługuje, bo najpracowitsza z całego gronka młodych kwiatków dziewiczych...

Spojrzano na mówiącego, nie rozumiejąc co mówi. Podług ubitego wyrażenia, które wybornie maluje wyłączność życia wiejskiego i jego ogradzanie się kastowe, „całe sąsiedztwo" było zgromadzone w wielkim komplecie i niepojmowano, co przemówienie księdza proboszcza znaczyć może? On to odgadł i uśmiechnął się: — Nie ma tu najpracowitszej panienki, która świeci całej parafii najpiękniejszym

przykładem dobrej chrześcijanki — rzekł — nie ma panny Feliksy Oktabowicz...

— A... rzekł ktoś, to jest któraś z pań, siedzących w pół kole przy stoliku, który przed bawiących na ganek wyniesiono.

Ksiądz pochwycił ton, nutę tego: a! i podniósł wzrok poważny w stronę zkąd się odezwało. — Czy pani dobrodziejka wie, jakie to piękne rzeczy odbywają się w Kamieniu, jaka się tam poczciwa praca prowadzi? zapytał. Młoda panienka daje z siebie wzór miłości bliźniego, który bez wstydu może wziąć sobie jako naukę matrona każda...

— Ależ księże proboszczu — przerwała pani domu — my zasług nie przeczymy, tylko to, o coś nas upomniał, ma w wykonaniu swem trudności: są pewne... pewne różnice...

— Ja pani dobrodziejko, jestem ksiądz, sługa boży — odparł proboszcz — dla mnie jedyną różnicą między ludźmi są czyny, ważne przed Bogiem. Skoro pani dobrodziejka przyznaje, że się zasług przeczyć nie może, to już wszystko, jak dla mnie... Upominam się o zasług tych nagrodę, o uznanie ich słuszne przed ludźmi...

Pani Sewerynowa coś powiedzieć chciała, chciały coś powiedzieć niejedne usta, ale ksiądz proboszcz, który to dostrzegł, łagodnem skinieniem ręki prawo nieprzerwanego głosu sobie zastrzegł. — Retoryka w takich przedmiotach bywa długa i rzadko rzecz rozstrzyga — rzekł. — Ja tak oto powiedziałem słówko, które mi z serca poszło i chciałbym teraz głównie do serc przemówić. Największa niewieścia ozdoba jest w dobroci i ja też do tej pięknej cnoty pań dobrodziejek się zwracam. Zrobić się przyjaciółką osoby zasłużonej, dać godziwą rozrywkę zacnie pracującej, o! wiozę ja już, że się to niejednej z moich słuchaczek podoba.... I mamy zacne się na to zgodzą, i córeczki poczciwe tego nie opuszczą....

Ksiądz uśmiechał się trochę filuternie przy zamknięciu przemowy, z którą się zwrócił w końcu do młodych panien, gdy te, usłyszawszy żywszą rozmowę i podniesione nieco głosy, z trawnika przed gankiem na ganek się zwróciły i stół okrążyły drugą jego stroną. Za pannami była młodzież. Ta kazanie księdza chętnie słyszała i niejednemu uśmiechnęła się myśl, aby ładna Oktabowiczówna znalazła się w gronie tancerek. Miała najpierw, jak powiedziałem, przymiot urody, powtóre była nowością, co stanowi zawsze powab wielce cenny, na koniec łączyła z tem wszystkiem zaletę niepośledniego znaczenia — była posażną. Teraz dla dumy szlacheckiej ten jej posag był tylko drażniącą ponętą, która niejednemu sprawiała przykrą oskomę i chyba już w bankructwie ostatniem. Felisia z posagiem swoim mogła wchodzić w plany kogoś „z sąsiedztwa.“ Ale Felisia równouprawniona przez towarzystwo, co za szacowny w tem towarzystwie nabytek... Młodzież też była gotowa przyklasnąć księdzu, gdy wtem lokaje wnieśli tace z słodkiemi przysmakami. Figurowały między niemi cukierki warszawskie, za które ksiądz proboszcz chciał podziękować, gdy mu je gospodyni, trochę dla załagodzenia poprzedniej zdań niezgodności, ze szczególną ofiarowywała gościnnością, ale nagle się namyślił.

— Proszę, proszę pani dobrodziejki, o tę piękną różę marcepanową — rzekł wesoło. Zawiozę ją mojej przyjaciółce Felisi Oktabowiczównie i powiem, że to jest zadatek względów, które jej dobrzy ludzie z serca świadczyć będą. Owinę to sobie pięknie i dowiozę w całości, różyczkę słodką dla słodkiej także różyczki.

Ponieważ druga taca obsługiwała panny, młodzież mogła się tu rozgospodarować i rzuciła się też hurmem do cukierków, które rozebrała w okamgnieniu, aby je przynieść wszystkie księdzu proboszczowi. — Dla słodkiej różyczki — wołano w żarcie wesołym, dowcipkując z dani rozmaitej, którą składano, bo były tam i serca gorejące i gołąbki z listami, kwiatki różne. Ksiądz wszystko przyjmował również wesoło, aż naraz zwrócił się do panien, które stały patrząc na to. — A od panien czy nie będzie żadnej przesyłki dla siostry różyczki? zapytał — od panien, którym się tu godzi być najgorliwszemi...

— Do was mam prawo przemawiać i żądać postępków pięknych — dodał poważnie — bo wyście najbielsze owieczki ze stadka, które pasę Panu. Wszystkie was niemal chrzciłem i wyrzekałem się za was ducha ciemności, to jest przesądu, a przyrzekałem drogę światła. Nad każdą główeczką malutką mówiłem sobie zaklęcie ducha takie: — Obyś kochała Boga nie w literze martwej, ale w żywem uczuciu dla tego, co jest dobre, piękne i szlachetne szlachetnością cnoty i anielskością ducha czystego. — Obyś miłowała bliźnich, nie w ograniczeniu przegródek ciasnych, które sobie maluczcy ludzie maluczko zrobili, ale ogarniając tą miłością jak świat szeroką, wszystko co kochania godne i poparcia potrzebne, od ciepła czystych serc kobiecych ogrzania wymagające. Białe stadko moje, czy mi się w was ziściły życzenia dla dzieweczki naszej, dla panny chrześciańskiej tworzone?

Ksiądz się wzruszył, wzruszyli się i słuchacze, a panny wszystkie bez wyjątku żadnego otoczyły mówiącego kołem, gdy w zapale przemowy wstał i podszedł ku nim. — Będziemy księże proboszczu przyjaciółkami Felisi Oktabowiczównej! zawołały chórem — zrobimy jak każesz i nie będziemy się rządzić przesądem..... A wszystkie niemal były w tej chwili najzupełniej w słowach i postanowieniach swoich szczere, a choć po przejściu wzruszenia, ulotniło się bardzo wiele z uczucia, działającego wówczas, została jednak rzecz, którą ksiądz proboszcz mądrze ukuł, póki kruszec serc był gorący. Stanęło przyrzeczenie uroczyste, że pierwsza z pań, w której domu będzie zebranie proszone, pojedzie do Kamienia do Oktabowiczów, prosić ich też będzie i zrobi to tak, aby Felisia koniecznie znajdowała się na zabawie i brała w niej udział.

Jana nie było w Wólce na podwieczorku owym, bo wypadł w czasie jakiejś roboty gospodarskiej istotnie dla niego pilnej, a on zwykle na zebrania przypadające w dzień powszedni, jeżeli się zjawił to samym już wieczorem i bawił nie długutko. Dowiedział się przecież prędko o tem co zaszło i ucieszyło go uznanie zasług Felisi, choć z drugiej strony uczuł się w niewytłumaczony sposób smutny. — Czy będzie lepiej, gdy świat piękną tę duszkę pochwyci? zapytał się sam siebie i zdawało mu się, że przyjaźń okolicy może dać Felisi ubogi tylko przyczynek do szczęścia. Ale miał serce świeżym jeszcze zawodem zranione i nie można się było dziwić pewnej goryczy jego uczucia.

Żniwa przeszły dość szczęśliwie; nie był to błogosławiony rok zeszłoroczny, ale też nie był to rok przepadłych urodzai, które przecież u Jana na całej Kamiennej Woli i Kamionkach Gajowych były znowu odznaczające się plonem wiele obfitszym niż gdzieindziej. Weszło to już niejako w zwyczaj okolicy przyjmować tę rzecz spokojnie, spodziewać jej się i wierzyć, że u Jana musi być wszystko szczególniej dobrze. Państwo i wasaństwo zarówno podzielało tę wiarę: — U pana Jana Kamieńskiego to już zawsze rodzi.... mówiono, tylko jedni stawiali temu konkluzyę: — Gospodarz całą gębą!... drudzy dodawali: — Szczęśliwy człowiek... choćby posiał na kamieniu to mu obrodzi...

I ci, i tamci mieli słuszność. Jan posiadał szczęśliwie taki kamień dzielności rozumnej, na którym zawsze obrodzi!...

Dożynki przedstawiały sposobność uiszczenia się

Nakładem i drukiem „Pracy“ Drukarni Nakładowej Sp. z ogr. p. — Redaktorzy odpowiedzialni: Za dział polityczny, wiadomości i dział illustrowany p. Bolesław Rakowski z Poznania, za dział ogłoszeń p. Wincenty Szmytkowski z Poznania.